Stron 12 Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Cena 20 zł

WIEŚ

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok V Łódź, 19 grudnia 1948 r. Nr 51 (179)

W NUMERZE

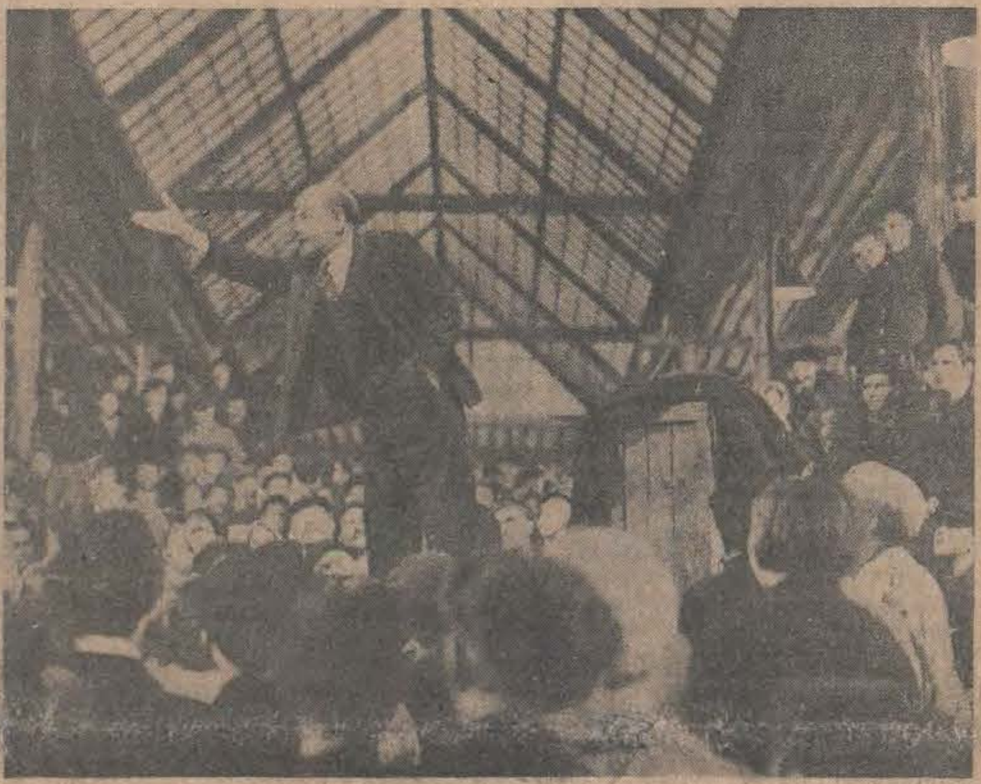
między innymi:

Wiesław Jażdżyński i Krzysztof Sławiński

DEKLARACJE DWÓCH REWOLUCJI



E. Delacroix — Wolność



Lenin w 1918 r.

Wielka karta kapitalistycznej „wolności"

Ludzie rodzą się i pozostają wolni i równouprawnieni. Różnice społeczne nie mogą zasadzać się, jak na wspólnej korzyści.

Celem każdego zespołu politycznego jest zachowanie przyrodzonych i nie ulegających przedawnieniu praw człowieka. Temi prawami są wolność, własność, bezpieczeństwo i opieranie się uciskowi.

Pierwiastek wszelakiej zwierzchności w istocie swej mieści się w narodzie. Żadne zrzeszenie, żadna jednostka nie może wykorzystać władzy, którąby wyraźnie nie wywodziła się stamtąd...

Prawo jest wyrazem woli powszechnej. W jego tworzeniu wszyscy obywatele mają prawo uczestniczyć osobiście, albo przez swoich przedstawicieli. Powinno być ono jedno dla wszystkich, czy to ochrania, czy karze. Wszyscy obywatele będąc równi wobec niego, narówni są dopuszczani do wszystkich godności, stanowisk i urzędów publicznych według ich zdolności i bez innej różnicy, jak ich cnót i talentów...

Nikt nie ma być niepokojony z powodu swoich zapatrywań, nawet religijnych, o ile ich wyrażanie nie zakłóca porządku publicznego, ustalonego prawnie.

Swobodne udzielanie sobie myśli i zapatrywań jest jednym z najcenniejszych praw człowieka: każdy obywatel może zatem swobodnie mówić, pisać, drukować, zastrzegając odpowiedzialność za nadużycie tej wolności w wypadkach oznaczonych przez prawo.

Wszyscy obywatele mają prawo stwierdzać sami lub przez swoich przedstawicieli konieczność podatku, przyzwalać nań według swego uznania, śledzić jego użycie i oznaczać ilość, rozkład, pobór i czas trwania".

Oto naczelne hasła, wpisane przez burżuazję do **„Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela"**.

Na placach wielu miast, w rewolucyjnych klubach paryskich, na szpaltach wielu pism mówili do narodu przedstawiciele burżuazji: „Istnieją prawa przysługujące wszelkiej jednostce ludzkiej i tych właśnie praw domagamy się nie tylko dla siebie, dla burżuazji, ale dla wszystkich ludzi, niezależnie od tego, czym są".

Z ich ust wyszło, na całą epokę wołanie — pozwólcie działać!

Hasła te poderwały do walki proletariat Paryża i innych większych miast Francji. Poderwały do walki o realizację „Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela" — drobnych rzemieślników. Cała ta olbrzymia masa ludzka stanowiąca doły społeczne stanu „trzeciego" stanęła u boku burżuazji do rozprawy ze starym feudalnym porządkiem.

Dlaczego? Przecież kilkadziesiąt lat później ten sam proletariat toczył już twardą i bezwzględną walkę klasową z wielkim mieszczaństwem.

Fakt, że istniała rzeczywista sprzeczność pomiędzy feudalną arystokracją a resztą społeczeństwa, pozwolił burżuazji wystąpić w imieniu wszystkich cierpiących ludzi. Wpisane w deklarację słowa o wolności, równości i braterstwie były reprezentatywne dla żądań nie tylko wielkiego mieszczaństwa ale i drobnego, nie tylko dla proletariatu ale i chłopów.

Robotnik otrzymywał perspektywę praw osobistych, rzemieślnik szanse na wyzwolenie się z niewoli cechowej, chłop — widoki na własną, „niezależną" parcelę. Wielki, swobodnie rosnący przemysł, który miał produkować tyle dóbr, iżby każdy miał wszystkiego pod dostatkiem, możność swobody myśli i wypowiedzi, bezpieczeństwo osobiste, możliwość zajmowania stanowisk i regulowania podatków — to były argumenty wysuwane przez burżuazję pod adresem niższych warstw trzeciego stanu.

Któż wtedy mógł przypuszczać, że wieczna i „przyrodzona" idea sprawiedliwości urzeczywistni się w burżuazyjnym sądownictwie, że prawo do własności, będzie dla drobnomieszczaństwa, proletariatu i chłopstwa prawem do szybkiego pozbywania się resztek własności. Któż mógł przypuszczać, że rozwijający się szybko przemysł podniesie właśnie nie zamożność, ale nędzę mas narodu, a instytucje społeczne i polityczne szydzić będą ze szczytnych założeń „Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela".

Czy wiedział kto, że Wielka Rewolucja oznaczać będzie nie co innego, jak przejście władzy z rąk jednej klasy wyzyskującej w ręce drugiej?

Owszem, wiedziała o tym burżuazja, planująca z góry etapami przejęcie władzy z rąk rozkładającej się arystokracji feudalnej. Cavignac — dziadek wzywał proletariat paryski do walki o wolność, równość i braterstwo. Cavignac — syn obnosił się po Paryżu z republikańską kokardą, ale w parlamencie grzmiał na przedstawicieli proletariatu i drobnomieszczaństwa. Cavignac — wnuk, strzelał już do manifestujących robotników.

Historia rodu Cavignac obrazuje najlepiej etapy rozwoju burżuazji i kapitalizmu, a zarazem etapy dewaluowania się pięknych słów z francuskiej deklaracji. Kilkadziesiąt lat — a już miała ona jedynie wartość papieru.

Przyjrzyjmy się historii.

Monarchia Ludwika Filipa — albo inaczej — „towarzystwo akcyjne do eksploatacji francuskiego bogactwa narodowego" — jak ją określa Marks. W Konstytucję wpisano wszystkie swobody z „Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela".

Olbrzymia część członków parlamentarnej większości mieszczańskiej, wśród nich sporo ministrów, to właściciele albo przynajmniej udziałowcy w szeregu przedsiębiorstw.

Panowie feudalni walczyli za „ojczyznę" przy pomocy szabli. Burżuazja ma wprawdzie żandarmerię do pilnowania praw człowieka i obywatela, walczy jednak głównie nową bronią — pieniądzem i kredytem, przy pomocy banków. Musimy bowiem pamiętać, że światowy kryzys z r. 1847 spowodował w rezultacie pomyślną koniunkturę przemysłową. Czy następujący po kryzysie okres prosperity odbił się korzystnie na bilansie płatniczym państwa? Nie — wprost przeciwnie. Co rok to większy deficyt. Któż więc akumulował kapitał? Oczywiście burżuazja — właściciel wszystkich fabryk.

A cóż z braterskimi uczuciami wobec proletariatu i drobnomieszczaństwa, do których odwoływała się w wielkich słowach „Deklaracja Praw Człowieka i Obywatela", oraz republikańska Konstytucja?

Braterstwo skończyło się wraz ze zwycięstwem nad feudalizmem. Wspólnota interesów zakończyła się i odtąd na długie lata zdobycze rewolucji odziedziczyła już tylko burżuazja. Oczywiście, mówiło się nadal, że „ludzie rodzą się i pozostają wolni i równouprawnieni". Jeszcze długi czas, bo aż do 1848 roku, słowo „fraternite" łagodziło narastający konflikt między proletariatem i kapitalistami. Niewykwalifikowany kapitalizm w pierwszej swojej fazie pozwalał na sentymentalne, uczuciowe wzloty ponad rosnące widmo walki klas.

Równocześnie biegła akcja pozbawiania proletariatu praw wpływania na losy Francji.

Jeszcze w 1848 roku wyznaczała opanowana przez większość burżuazyjną Konstytuanta — komisję śledczą, której głównym zajęciem było osadzanie w więzieniach przywódców robotniczych i drobnomieszczańskich, czynnych w lutowej i czerwcowej rewolucji. W marcu 1849 roku wniesiono na porządek dzienny obrad Zgromadzenia Narodowego sprawę zniesienia wolności zrzeszeń. Dla robotników i „czerwonych" drobnomieszczan był to cios wielki. Kluby dyskusyjne, słynne za czasów rewolucji — paryskie kluby, otaczane kiedyś opieką przez burżuazję — zostały zniesione. Oznaczało to eliminację potężnych ośrodków intelektualnych ruchu proletariackiego.

Załatwiono się i z drobnomieszczaństwem. Po prostu grand burgeois zażądał od petit burgeois aby natychmiast mu wypłacił wszystkie należności. W ten sposób olbrzymia część rzemieślników i sklepikarzy francuskich została zupełnie zrujnowana, a reszta otrzymała takie warunki prowadzenia interesów, że stała się właściwie niewolnikiem wielkich banków.

Jakże więc ostatecznie wyglądała monarchia Ludwika Filipa a później republikańska Francja — owo burżuazyjne królestwo, oparte na „rozumie"?

Czy istniała wolność? Owszem, nawet nieograniczona, ale tylko dla wielkiej finansjery i właścicieli fabryk. Mogli oni rzeczywiście gromadzić dowoli kapitał i rzeczywiście gromadzili.

Czy istniało prawo do prywatnej własności? Owszem, ale spoczywało ono tylko w rękach burżuazji. Bo tylko ten ma własność, kto panuje nad środkami produkcji.

Była swoboda w czynie, mówieniu i pisaniu? Tak, była, ale zastrzeżona odpowiedzialnością. Przyczem odpowiedzialność spadała na proletariat (więzienia, zakaz klubów po rewolucji z 1848 roku). Wielkie mieszczaństwo nie odpowiadało za czyny, słowa mówione i drukowane.

Engels znakomicie ocenia porewolucyjną Francję: „Handel przechodził coraz bardziej w zdzierstwo. Rewolucyjne hasło „braterstwa" urzeczywistniło się w szykanach i w zawiści walki konkurencyjnej. Brutalny ucisk ustąpił miejsca korupcji, zamiast szabli podstawową dźwignią władzy społecznej pozo-

stał pieniądz. „Prawo pierwszej nocy" przeszło od panów feudalnych do fabrykantów burżuazyjnych..." („Rozwój socjalizmu od utopii do nauki").

Wielkie mieszczaństwo okazało wiele pomysłowości przy dopasowaniu zdobyczy Wielkiej Rewolucji do własnych klasowych interesów. Ale burżuazyjna finansjera nie uniknęła pomyłek.

Wprowadzenie uciążliwego systemu podatkowego spowodowało, że republikę opartą na hasłach „Wolności, równości i braterstwa" oglądał chłop w osobie poborcy podatkowego. Natomiast „chłopstwo przedstawiało się republice w osobie **cesarza**" — pisze Marks omawiając walki klasowe we Francji w latach 1848—1850.

A cesarza uosabiał Ludwik Bonaparte.

Jego „partia porządku", która składała się z mnóstwa rojalistów, dawnych książąt, młodych kondotierów, przede wszystkim zaś sprzedajnego lumpen — proletariatu umiała cynicznie wykorzystać antyburżuazyjne nastroje chłopów. Właśnie pod adresem chłopów rzucono hasła utrzymania własności, zachowania religii, rodziny, spokoju i porządku. Napoleon, wydoskonalony w pisaniu odezw, orędzi i listów publicznych zarzucił chłopstwo obietnicami. Niewątpliwie wykorzystał wszystkie burżuazyjne zdobycze w osiąganiu zwycięstw parlamentarnych i wyborczych. Ponadto — pisze Marks — „jako fatalista hołduje on przekonaniu, że istnieją pewne siły wyższe, którym człowiek, a zwłaszcza żołnierz nie może się oprzeć. Do tych sił zalicza przede wszystkim cygara, drób na zimno i kiełbasę z czosnkiem".

Ostatecznie, wspierany przez przekupioną armię i lumpen-proletariat a przede wszystkim — chłopów został Napoleon milionami chłopskich głosów wybrany na Prezydenta Republiki. Stąd miał już znacznie bliżej do cesarskiego tronu. Wielka magnateria finansowa i przemysłowa poniosły zdecydowaną klęskę. Nie znaczy to bynajmniej, że poniósł klęskę ustrój kapitalistyczny. Przeciwnie — można nawet powiedzieć, że odniósł zwycięstwo nie tylko nad miastem ale i nad wsią.

Cóż bowiem mieli do zawdzięczenia Napoleonowi chłopi, którzy utorowali mu drogę do krótkiej wprawdzie, ale zawrotnej kariery?

Zawdzięczają mu utrwalenie posiadania na własność parceli, rodzinne życie na niej, swobodę kultu religijnego i anioła stróża — plebana. Właśnie przy pomocy hasła „wolnej" parceli upowszechnił Napoleon rewolucję burżuazyjną na terenie wsi, co praktycznie oznaczało pozbawienie chłopów wolności.

Zajrzyjmy w chłopskie hipoteki. Każda parcela miała ich dwie. W jednej zapisywała długi burżuazja, w drugiej ksiądz zapisywał chłopu zbawienie wieczne. Gdyby zaś zcalić te dwie księgi w jedną, mielibyśmy po stronie — „winien" — chłopskie długi, wynoszące całą wartość ich parcel plus część pracy „na swoim", po stronie — „ma" — wyczytalibyśmy wizję raju po śmierci.

„...W ciągu XIX stulecia — pisze Marks — miejsce feudała zajął lichwiarz miejski, miejsce obciążających ziemię powinności feudalnych — hipoteka. Miejsce arystokratycznej własności ziemskiej — burżuazyjny kapitał" (18 Brumaire'a Ludwika Bonaparte").

Takie to były prawa Obywatela i Człowieka nadane chłopom przez przyszłego drugiego cesarza Francuzów. Osławiony kodeks Napoleona był już tylko „kodeksem egzekucji, sekwestrów i licytacji przymusowej".

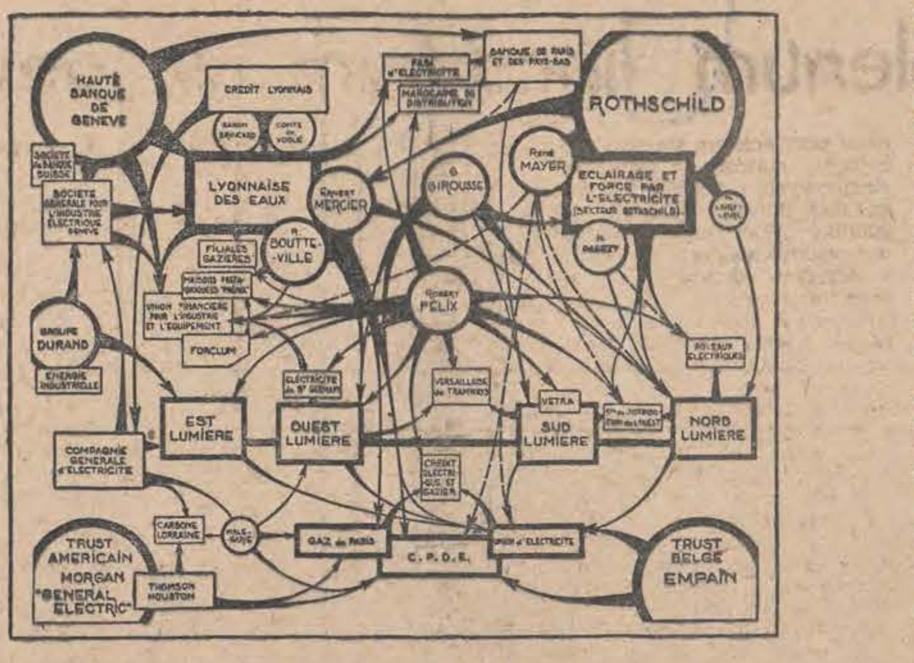
Na odcinku proletariatu miejskiego większych inwoacji Ludwik Bonaparte nie wprowadził. Walkę z wykrystalizowaną już i świadomą swych celów klasą robotniczą prowadził po linii burżuazji i w oparciu o nią. Bo przecież objęcie władzy przez Napoleona III oznaczało przejście władzy z rąk jednej grupy burżuazyjnej w ręce drugiej. Nic więcej.

Na uwagę zasługuje może tylko fakt przystosowania Konstytucji do nowych wymogów zupełnie już jawnej i zaostrzonej walki klasowej. W zasadzie konstytucja zachowała nadal swoja republikańską treść nawiązującą do „Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela", ale każdy jej paragraf zawierał równocześnie swoją własną antytezę. Czyli nadawało się prawnie wolność i określało równocześnie warunki jej zniesienia. Każdy bezmała punkt konstytucji był zręcznie zastawioną pułapką policyjną, w którą raz po raz wpadał „wolny" obywatel francuski, najczęściej rewolucyjny robotnik.

Wraz z rozwojem klasy kapitalistów następował rozwój proletariatu. Co więcej rosła jego klasowa świadomość. Kiedy burżuazja mogła tylko w ograniczonym zakresie doskonalić posiadane narzędzia walki klasowej, proletariat zdobywał nowe. Już Manifest Komunistyczny zdarł idealistyczną maskę z twarzy wielkiego kapitału. Równocześnie jednak rozwijała się socjalistyczna nauka, potężny i niezwyciężony oręż w walce z wyzyskiem. Dzięki niej stało się jasne, że wolność człowieka i jego prawa do rozwoju to nie jest jakaś ahistoryczna, istniejąca ponad czasem i przestrzenią wartość tkwiąca w „naturze" człowieka. Przeciwnie — pojęcie praw człowieka jest historyczne i zmienne w czasie. Nauka socjalistyczna wyjaśnia, że wszystka dotychczasowa „wolność" w państwach feudalnych i kapitalistycznych była i jest przywilejem klasowym. Przykład Francji, aż nadto dobrze to wyjaśnia, a każde inne kapitalistyczne państwo ów przykład potwierdza. Prawdziwa wolność może być zrealizowana jedynie w społeczeństwie bezklasowym.

Wiele ciężkich dla proletariatu lat upłynęło od chwili ogłoszenia „Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela". Nie zmarnowała ich klasa robotnicza, bo oto w następnej, imperialistycznej fazie kapitalizmu sformułował Lenin nową deklarację wolności.

Wiesław Jażdżyński



MIĘDZYNARODOWE ZWIĄZKI MONOPOLI

Tak łączą się ponad granicami państw i narodów interesy trustów i monopoli, by potem wspólnie ujarzmiać narody bez różnicy koloru skóry i religii

(rys. z „Action")

Projekt deklaracji praw ludu pracującego i wyzyskiwanego*)

Konstytuanta uchwala:

I. 1. W Rosji zostaje proklamowana Republika Rad Delegatów Robotniczych Żołnierskich i Chłopskich. Cała władza centralna i lokalna należy do tych Rad.

2. Rosyjska Republika Rad zostaje założona na zasadach wolnego związku wolnych narodów, jako federacja Radzieckich Republik narodowych.

II. Stawiając sobie za główne zadanie zniesienie wszelkiego wyzysku człowieka przez człowieka, całkowite usunięcie podziału społeczeństwa na klasy, bezlitosne złamanie oporu wyzyskiwaczy, wprowadzenie socjalistycznej organizacji społeczeństwa i zwycięstwo socjalizmu we wszystkich krajach. Konstytuanta następnie postanawia:

1. Prywatna własność na ziemię zostaje zniesiona. Cała ziemia ze wszystkimi zabudowaniami, z inwentarzem i ze wszystkim, co należy do produkcji rolnej, staje się mieniem całego ludu pracującego.

2. Potwierdza się radziecką ustawę o kontroli robotniczej i o Najwyższej Radzie Gospodarstwa Narodowego w celu zabezpieczenia władzy ludu pracującego nad wyzyskiwaczami i jako pierwszy krok do całkowitego przejścia fabryk, kopalń, kolei oraz innych środków produkcji i transportu na własność państwa robotniczo - chłopskiego.

3. Potwierdza się przejście wszystkich banków na własność państwa robotniczo-chłopskiego, jako jeden z warunków wyzwolenia mas pracujących od jarzma kapitału.

4. W celu zniesienia pasożytniczych warstw społeczeństwa zostaje wprowadzona powszechna powinność pracy.

5. W celu zagwarantowania całkowitej władzy masom pracującym i usunięcia wszelkiej możliwości przywrócenia władzy wyzyskiwaczy zostaje zadekretowane uzbrojenie ludu pracującego, utworzenie socjalistycznej Armii Czerwonej Robotników i Chłopów i całkowite rozbrojenie klas posiadających.

III. 1. Wyrażając niezłomną wolę wyrwania ludzkości ze szponów kapitału finansowego i imperializmu, który zalał krwią kulę ziemską w wojnie obecnej, najbardziej zbrodniczej ze wszystkich wojen, Konstytuanta całkowicie przyłącza się do przeprowadzonej przez Władzę Radziecką polityki zerwania tajnych umów, organizowania jak najszerszego bratania się z robotnikami i chłopami walczących obecnie między sobą armii i osiągnięcia, za wszelką ceną, środkami rewolucyjnymi, pokoju demokratycznego między ludami, bez aneksyj i bez kontrybucji, na zasadzie swobodnego samookreślenia narodów.

2. W tym samym celu Konstytuanta domaga się całkowitego zerwania z barbarzyńską polityką burżuazyjnej cywilizacji, która opierała dobrobyt wyzyskiwaczy spośród nielicznych narodów na ujarzmieniu setek milionów ludności pracującej w Azji, w ogóle w koloniach i w małych krajach.

Konstytuanta wita z uznaniem politykę Rady Komisarzy Ludowych, która proklamowała całkowitą niepodległość Finlandii, zapoczątkowała odwołanie wojsk z Persji, proklamowała wolność samookreślenia Armenii.

3. Konstytuanta uważa radziecką ustawę o zanulowaniu (unieważnieniu) pożyczek, zaciągniętych przez rządy cara, obszarników i burżuazji, za pierwszy cios, zadany międzynarodowemu kapitałowi bankowemu i finansowemu i wyraża przeświadczenie, że Władza Radziecka pójdzie niezachwianie po tej drodze aż do całkowitego zwycięstwa międzynarodowego powstania robotniczego przeciw jarzmu kapitału.

IV. Konstytuanta, jako wybrana na podstawie list ułożonych przez partię przed Rewolucją Październikową, kiedy lud nie mógł jeszcze powstać całą masą przeciw wyzyskiwaczom, kiedy nie znał całej siły ich oporu w obronie swych przywilejów klasowych, kiedy w praktyce nie przystąpił jeszcze do tworzenia społeczeństwa socjalistycznego, — uważałaby za rzecz z gruntu niesłuszną, nawet z formalnego punktu widzenia, przeciwstawianie siebie Władzy Rad.

Co się tyczy istoty rzeczy, to Konstytuanta uważa, że teraz, w chwili ostatecznej walki ludu z jego wyzyskiwaczami — dla wyzyskiwaczy nie ma miejsca w żadnym z organów władzy. Władza powinna należeć całkowicie i wyłącznie do mas pracujących i do ich pełnomocnego przedstawicielstwa — do Rad Delegatów Robotniczych, Żołnierskich i Chłopskich.

Popierając Władzę Radziecką i dekrety Rady Komisarzy Ludowych, Konstytuanta uważa, że żądania jej zostają wyczerpane przez ustanowienie podstawowych zasad socjalistycznej przebudowy społeczeństwa.

Jednocześnie, dążąc do utworzenia rzeczywiście wolnego i dobrowolnego, a więc tym ściślejszego i trwalszego związku klas pracujących wszystkich narodów Rosji, Konstytuanta ogranicza swe zadanie do ustanowienia podstawowych zasad federacji Radzieckich Republik Rosji, pozostawiając robotnikom i chłopom każdego narodu samodzielne zadecydowanie na swym własnym pełnomocnym Zjeździe Rad, czy pragną oni, i na jakich podstawach, uczestniczyć w rządzie federalnym i w pozostałych federalnych instytucjach radzieckich.

*) Lenin napisał projekt deklaracji w pierwszych dniach stycznia 1918 roku. Stalin do projektu tego, za zgodą Lenina, wniósł kilka poprawek. W takiej postaci projekt stał się podłożem deklaracji ogólnorosyjskiego Centralnego Komitetu Wykonawczego, proklamowanej na posiedzeniu Konstytuanty 5 stycznia. Kontrrewolucyjna większość Konstytuanty nie zgodziła się na omawianą deklarację. Deklaracja została zatwierdzona przez III Ogólnorosyjski Zjazd Rad 11 stycznia 1919 r. i w następstwie stała się częścią składową Konstytucji RFSRR uchwalonej przez V Ogólnorosyjski Zjazd Rad 10 lipca 1919 r.

Rewolucja mas wyzyskiwanych

Na przełomie XIX i XX w. zachodzą w kapitalizmie wielkie przeobrażenia; wolna konkurencja ustępuje miejsca monopolom i trustom. Kapitalizm wstąpił w fazę imperializmu. Niektórzy teoretycy uważali imperializm za ponowną młodość kapitalizmu. Ale starcza jurność nie może być nigdy młodzieńczą żywotnością. Imperializm pogłębił i poszerzył wszystkie starcze choroby kapitalizmu. Zaczęło się od szybkiej koncentracji kapitałów w rękach nielicznych potentatów finansowych. Od likwidacji mniejszych przedsiębiorstw i pauperyzacji szerokich mas proletariatu i drobnomieszczaństwa. Imperializm rozpalił walkę o rynki zbytu. Zapanował głód kolonii. Rozwój imperializmu przeobraził większość narodów w niewolników nielicznych magnatów. W 1852 r. Disraeli powiedział, że „kolonie — to kamienie młyńskie u naszej szyi". Pod koniec XIX w. Cecil Rhodes — ideolog i organizator angielskich grabieży kolonialnych powiedział po prostu: „Zwiedziłem wczoraj londyński East—End (dzielnica robotnicza) i byłem na zebraniu bezrobotnych. Kiedy nasłuchałem się tam dzikich mów, które były jednym krzykiem: chleba! chleba! to wracając do domu i rozmyślając o tym, co kiedyś widziałem, przekonałem się bardziej niż kiedykolwiek o doniosłości imperializmu... Ażeby uratować czterdzieści milionów ludności Zjednoczonego Królestwa od zabójczej wojny domowej, my, politycy kolonialni, musimy zdobyć nowe ziemie, aby na nich umieścić nadmiar ludności, ażeby otrzymać nowe rynki zbytu towarów, produkowanych w fabrykach i wydobywanych w kopalniach... Jeśli nie chcecie wojny domowej musicie stać się imperialistami". Anglia nie może wykarmić swoich obywateli. Cały świat kapitalistyczny nie będzie mógł zapewnić życia „swym" obywatelom. Przed rewolucją szuka ratunku w koloniach. W wydziedziczeniu narodów Azji, Afryki, Australii — nie pominie też Europy. Narody „panów" ciągną bezgraniczne zyski z narodów „podwładnych". Według jednego z czołowych ideologów imperializmu Schulze - Gaevernitz'a zasługą imperializmu jest „wychowanie murzyna do pracy".

„Europa — pisze — zwali pracę fizyczną — z początku pracę rolniczą i górniczą, a następnie i cięższą przemysłową — na barki ciemnoskórej ludzkości, a sama zadowoli się rolą rentiera".

W praktyce nawet kolor skóry nie stanowi dla imperializmu bariery nie do przekroczenia. Niewolnikiem nie musi być przecież człowiek o kolorowym odcieniu skóry.

Cały świat zostaje niewolnikiem i sługą nielicznej garstki wielkich monopolistów.

Pogłębiają się coraz bardziej wewnętrzne sprzeczności kapitalizmu. Coraz dłuższe i gwałtowniejsze są kryzysy gospodarcze. Walka o rynki zbytu wtrąca ludzkość w wojny, obejmujące cały świat. Na wojnach znów zyskują nieliczni monopoliści i znów pogłębia się nędza szerokich mas pracujących — całej bezmała ludzkości. Ale potęgujący się wyzysk kapitalistyczny rodzi swego grabarza — **proletariat**.

Siła i świadomość klasy robotniczej, i rewolucja socjalistyczna narasta w wirze zaostrzających się sprzeczności imperializmu i zmagającego się napięcia walk klasowych między wyzyskiwaczami i wyzyskiwanymi (i to bez różnicy szerokości geograficznej i koloru skóry). Wyrasta w coraz bardziej zakłębiających się sprzecznościach między społeczną produkcją a prywatnym przywłaszczeniem, które dezorganizują i rozsadzają imperializm od wewnątrz. W rozszerzającej się stale przepaści między bezmiarem wyzysku pracujących a społeczną zbędnością wyzyskiwaczy. Rewolucja ogarnia coraz szersze kręgi ludzi pracy, którzy coraz głośniej rzucają pytanie: dlaczego pracujemy dla tych, którzy przynoszą nam tylko ból i cierpienie, pozbawiają nas wolności i wtrącają w nędzę?

Narastanie walk przeciwko imperializmowi pod hasłami socjalizmu jest tak samo koniecznością historyczną jak klęska i zagłada kapitalizmu.

Pierwszy do walki zerwał się proletariat Rosji. I pierwszy zerwał kajdany imperialistycznej niewoli. Przeczytaj, drogi czytelniku, uważnie deklarację, która była sztandarem politycznym Wielkiej Rewolucji Październikowej. Zastanów się poważnie nad słowami, które dziś wprowadzają w czyn coraz to nowe narody bez różnicy wyznania i koloru skóry.

Mówią one o tym, co nurtuje masy pracujące na całym świecie. Wyrażają myśli proste i konkretne o tym, że trzeba zlikwidować ustrój, zamieniający ludzkość w niewolników, rozbijający świat wojnami, grożący zagładą cywilizacji i kultury. Stawiają naukową diagnozę choroby imperializmu i niemniej naukowo wskazują możliwości wyzwolenia ludzkości. Bez frazesów. Bez patetycznych haseł. Po prostu. Tak jak myślą i czują ludzie — którzy dostatecznie cierpieli od kapitalizmu, zrozumieli nieuchronność i konieczność jego zagłady i poczuli w sobie dość sił, by go pokonać. Tak, jak myśli klasa robotnicza — jedyny konsekwentny przywódca wszystkich uciskanych w walce przeciw imperializmowi o socjalizm.

Deklaracja mówi o zniesieniu własności prywatnej środków produkcji, o prawie narodów do samostanowienia o sobie — aż do oderwania włącznie, o władzy mas pracujących.

„W ciągu kilku tygodni po obaleniu burżuazji — pisał Lenin w marcu 1918 roku — złamaliśmy w wojnie domowej jej jawny opór. Zwycięskim tryumfalnym pochodem bolszewizmu przeszliśmy od krańca do krańca przez olbrzymi kraj. Podnieśliśmy do wolności i samodzielnego życia najbardziej niższe warstwy spośród, uciskanych przez carat i burżuazję, mas pracujących. Ustanowiliśmy i utrwalili Republikę Rad, nowy typ państwa, bez porównania wyższy i bardziej demokratyczny, aniżeli najlepsze spośród burżuazyjno-parlamentarnych republik. Urzeczywistniliśmy dyktaturę proletariatu, popieranego przez biedotę chłopską i rozpoczęliśmy wcielać w życie szeroko pomyślany system przeobrażeń socjalistycznych. Wzbudziliśmy wiarę we własne siły i umocnili ogień entuzjazmu wśród milionów robotników wszystkich krajów. Rzuciliśmy wszędy zew do międzynarodowej rewolucji robotniczej. Rzuciliśmy wyzwanie drapieżcom imperialistycznym wszystkich krajów".

Hasła postawione przez Wielką Rewolucję Październikową zostały zrealizowane w Związku Radzieckim. Dziś drogą ich kroczą kraje demokracji ludowej, a pod ich sztandarem walczą o wolność społeczną i narodową masy pracujące Hiszpanii, Grecji, Indii, Chin, Indonezji, Francji, Włoch.

Związek Radziecki, jest dziś wielkim natchnieniem walczących o wyzwolenie mas pracujących i wyzyskiwanych wszystkich narodów. I dlatego, że pierwszy zrealizował zasady marksizmu - leninizmu. I dlatego — że wszędzie staje w obronie „pracujących i wyzyskiwanych" przed imperializmem.

Krzysztof Sławiński.

Stanisław Stefan Gębala

Po plenum lipcowym w pewnej wsi

PÓŁ-DZIEDZICE

Wiadomości o uchwałach lipcowych plenum KC PPR doszły na moją wieś za pośrednictwem tych, którzy zareagowali na nie gwałtownymi sprzeciwami, uwagami pełnymi ironii i karykaturą prawdy. Właściciele odbiorników radiowych, prenumeratorzy gazet, dziwni delegaci powiatowi i wojewódzcy, wszystko to było takim samym pośrednikiem jak niegdyś szlachcic — uczestnik kościuszkowskiej insurekcji mającej ogłaszać swym poddanym Uniwersał Połaniecki...

Dzień 8 sierpnia b. r. był upalny. Upał panował na ulicach powiatowego miasteczka, przechodnie skrupulatnie omijali nieocienione chodniki, a właściciele piwiarni zasłaniali okna swych lokali. Ponadto mimo, że dzień był świąteczny, pracowali tak jak pracuje się tylko w dzień targowy. Delegaci gromad, zarządów gminnych i organizacji wychylili tego dnia więcej kufli piwa, niż by tego dokonać mogła zwykła jarmarczna publiczność..

Aula po-hrabiowskiego pałacu, o ścianach okrytych myśliwskimi trofeami dawnych panów zamku nawykła do podobnych zebrań, tym razem nie mogła wszystkich pomieścić. Było więc pełno w wielkiej sali i korytarzu.

Zaczęło się od długiego przemówienia, mającego ambicję dać skrót dziejów świata. Siedzący obok obywatel już w godzinę po rozpoczęciu przemówienia poczęstował mnie papierosem, aby móc wypowiedzieć owo radosne słowo, przynoszące ulgę:

— Znaczy, że nie będzie — powiedział...

— Co nie będzie? — spytałem bez skutku, bo mój rozmówca słuchał coraz uważniej, na pewno z usilnym staraniem pokonania w sobie czegoś najeżonego strachem. Uspokojeni słuchacze rozpięli krawaty, inni zaś zrzucili marynarki...

Z trybuny padło bowiem zapewnienie, że „kołchozów w Polsce nie będzie"... W czasie dyskusji zapytał ktoś o znaczenie słowa: kołchoz, przy czym opowiedział, że jadąc tu rowerem minął w drodze staruszka, ciągnącego wózek z półkopkiem snopów... Staruszek bał się widocznie o to, by po upale nie nastąpiła burza, więc uciekał przed nią, a jego starucha popychała, jak mogła, ich wspólny los nie będący przecież kołchozem"... Gwizdy i pomruki oburzenia były odpowiedzią na te słowa. Jeden z moich sąsiadów klął półgłosem.

— Psiakrew, zawołają dziada i barłoży tu. Potem szły w dyskusji „bolączki". Dlaczego P.Z.Z. wozi mąkę tam i sam, a piekarnie muszą pędzić w ślad za nią 30 km i stamtąd ją przywozić, skoro mają młyn pod nosem... Jeśli więc potrzebują, dać im, a kwit niech wędruje... Dlaczego w jatkach powiatowego miasteczka są półki i szuflady, a w nich leżą odważone kawałki polędwic, zrazów, szynek itd. zamówione przez mecenasowe, inżynierowe, technikowe, a dla robotnika nie ma, a jeśli jest, to szczęka, kopyto albo kawałek ogona. Przemawiał także burmistrz jednego z miasteczek w powiecie ucharakteryzowany na chłopa. Mówił gwarą jak nikt z obecnych, a to co powiedział, aż kipiało od nadmiaru żywiołowej radości...

— I juz balim się — kończył swe przemówienie — że, stanie się ten kołchoz, ale teraz skoro nasz pan obywatel poseł mówi, że kołchozów nie będzie, to cieszymy się i będziemy mogli dalej swobodnie pracować. nad odbudową naszego kraju. Prelegent zmęczony i zdziwiony cierpiał widocznie. Dostojni i zamożni, ci którzy zajęli tu miejsce hrabiów i dziedziców, uspokoili się... Obywatel poseł cierpiał, cierpiał na skutek owej retorycznej pomyłki: „dawniej tu hrabiowie bawili, dziś my.."

Nudnawo już było; kiedy poprosiłem o głos. Niewiele miałem do powiedzenia: chciałem tylko zapytać, czy wartoby zaznajomić z uchwałami plenum tych, którzy nie przyszli. Nie przyszli, bo miasteczko na końcu powiatu i daleko, bo nie mieli kogo przy chudobie na cały dzień zostawić, nie mieli motocykli, powozów ani woźniców, należytego odzienia i odpowiedniego obuwia, takiego mianowicie i w takim stanie, by bez obrazy zebrania można było w nich się pokazać. Gdyby tu byli, czy referenci potrzebowaliby dla uspokojenia stępiać ostrość uchwał plenum KC PPR? Gdyby tu był ten, który wlókł swoją nieszczęsną dolę wraz z wózkiem ze snopami, to chyba nie trzebaby go uspakajać. Usłyszałem poruszenie wśród zebranych i brzęk muchy. Organizatorzy poczerwienieli. Z kąta usłyszałem oklaski.. Wszystko to znaczyło, że mojego pytania wysłuchano z zainteresowaniem. Dalsze słowa mojego przemówienia dotyczyły wsi, którą zamierzano wytypować na wieś samopomocową.

II. SKOWIERZYN PO RAZ DRUGI *)

Pisałem o tej wsi z zachwytem, a było to w czasie rozpraw sądowych i ferowania wyroków po strajku chłopskim. Mnie i każdemu zwalczającemu sanacyjny reżim musiała się podobać owa beztroska, z jaką przyjmowano tam niezbyt łagodne wyroki, musiały się podobać te ceremonialne wyjazdy do aresztu z muzyką, z wozem w czwórkę koni itd. Skądże mogłem wtedy wiedzieć, że promotor tego wszystkiego, sam „izolowany" przed każdymi wyborami od świata, jest nieomal przyjacielem starosty i że u tegoż sanacyjnego starosty z sympatią mówiło się o strajkowych i postrajkowych hecach? Artykuł mój umieszczony na pierwszej stronie tygodnika „Wici" czytany był z uznaniem we wsi, którą chwalono za owe zasługi, również z uznaniem odczytał go starosta swoim gościom przy pewnej rodzinnej uroczystości. Po tym jednak nastąpiły mniej barwne wydarzenia, wykryto miejscową K. P. P., aresztowano jej członków, i nikt nie zaprzągł czwórki koni, nikt nie wystrzelił z moździerza, a we wsi mówiono o tym z szeptem lub wcale nie mówiono... Z zasług chwalonych przeze mnie ostała się przed późniejszym i sprawiedliwym osądem tylko jedna... To mianowicie, że mieszkańcy tejże wsi odwykli wcześniej niż cała okolica od czapkowania do stóp i mieli odwagę mówić prosto w oczy powiatowym kacykom to, co mieli na swoich coraz to rosnących w dumę chłopskich sercach. Wszystko inne było tylko powtarzaniem lekcji za Miłkowskim, wszystko inne służyć miało do postawienia ich na miejscu okolicznych dziedziców. I postawiło... Przyszedł czas oczekiwanej reformy rolnej i moi zapaleni chłopi przekształcili się w dziedziców a przynajmniej w pół-dziedziców. Dlatego to zapytałem nagle prelegenta:

— Czy można w jakikolwiek sposób zachęcić **pół-dziedziców** do pójścia z postępem? Prelegent wiedział, że nie można... W tym dniu dowiedział się także, że wieś, którą zamierzał wytypować na wieś samopomocową może być wsią wzorową także w sensie zabudowy i produkcji, ale do granic miedz **indywidualnej gospodarki...** To w tej wsi powaga i autorytet, kandydat do sejmu ciśnięciem czapki o ziemię zareagował na wspomnienie o uchwałach lipcowych plenum.

— Co to, to już nie, panie pośle...

Przed kuźnią w rodzinnej wsi spotykam ludzi ze Skowierzyna i z miejsca zaczyna się „polityczka"... Już nam niczego nie ulepszą— powiadają. Jeden z nich obrazowo przedstawił mi położenie swojej wsi. Chwycił leżące przed kuźnią bose koło i postawił je piastą na szczycie słupka w ogrodzeniu...

— Tak stoi nasza wieś... Stoi jak najwyżej. Ale spróbój cośkolwiek poprawiać w tym położeniu!—Koło naturalnie spadło, a mówca triumfował.

— No widzisz... Tyle jeszcze można z wsią naszą zrobić.

I rzeczywiście. Zamożni i ciągle w zamożność rosnący nie potrzebują na razie poprawek w swym położeniu. Kiedyś dopiero, gdy rozdrabnianie gruntów pójdzie swoją koleja, wtedy może, może wyrośnie znowu poczucie potrzeby reformy i znowu butnie i czupurnie wieś upomni się o nią.. Na razie czuje się dobrze i w ogóle jest w niej wszystko, co kwalifikuje jej wzorowość i powiedzmy—samopomocowość... Tak jest we wsi, gdzie jeśli czegoś brak, to biednych. A brak to jest dotkliwy i daje się we znaki wszystkim, bo cóż ci po bogactwie, kiedy nie możesz nikomu powiedzieć: „dziadu".

Co po bogactwie, gdy nie ma biednych i komuż okazać „błogosławioną dobroć człowieka"? Parobcy, służące i pastuchy nie liczą się przecież, są wrośnięci „organicznie" w gospodarstwa pół-dziedziców?...

III. WIEŚ NA ROZDROŻU

Szczęściem cała okolica usiana jest wsiami, gdzie obok mokradeł i olchowych lasów są żytnie zagony, gdzie wśród piaszczystych wydmisk mozoli się biedota, zbiornica emigranckiej, do wszystkiego przydatnej masy. Tam w tych piaszczystych wsiach pięciomorgowi „bogacze" zarabiają niezły grosz u „hołoty", która z uporem trzymając się ziemi inwestuje w nią i traci całoletnie zarobki... Ziemię zaorać i obsiać trzeba: taki już jest przyrodzony „muś", krowinę chodować trzeba, bo czymże żyłyby dzieci, ale i za orkę i za wyżywienie chudoby trzeba oddać grosze, a żeby je mieć, trzeba czepiać się każdej roboty, trzeba iść do miasta na sezon budowlany, mieszkać byle gdzie, żywić się byle czym i składać grosz do grosza...

Kto nie zna tych „biłgorajców"? Przecież to oni pracują przy odbudowie Warszawy, ale nikt nie wie, że wielu z nich pochodzi ze wsi, gdzie jeśli jest coś z cegły, to chyba komin, albo dworski budynek zamieniony na szkołę...

Licha gleba, rozdrobnienie ziemi powodują, że we wsiach tych rolnicze zajęcia są zajęciami kobiet i dzieci. Jeśli nie ma głodnych i obdartych, to tylko dzięki temu, że nie ma bezrobotnych... Zdawałoby się ,że mieszkańcy tych wsi na pograniczu między wsią a miastem, między rolnictwem a przemysłem, ogólnie i powszechnie odczuwają pragnienie jak najgłębszych reform. Kto jednak zna te wsie ten wie, że i ich społeczność podzielona jest na klasy, a nawet kasty...

Do podziału doszło tak: Oto w mojej wsi syn kobiety, która w czasie pierwszej wojny światowej umarła z głodu, postawił z „niczego" gospodarstwo o murowanych budynkach z parą koni, czworgiem bydła i siedemnastoma morgami ziemi...

Syn ubogiej kobiety został mistrzem budowlanym, a dzięki znajomościom zawartym na wojnie nie cierpiał na brak pracy. Mistrz zatrudniał robotników, a ci z wdzięczności pomogli obrobić mu siedemnaście morgów, pobudować budynki, a kiedy przyszły czasy zmuszające do żebrania o pracę, mistrz spęczniał...

Oto drugi: Ten — majster robót melioracyjnych i dostawca jarzyn: duże gospodarstwo, większe dwukrotnie od nierozdrobnionego jeszcze gospodarstwa ojca, z którego wyszedł. Dwadzieścia lat pracy i kombinacji po ukończeniu trójzimowych kursów przy CTO i KR. A oto inny: żadnych kursów i żadnych szkół.. Zwykły murarz, był jednak czas, kiedy murarze upomnieli się u przedsiębiorcy o zaległe dniówki... Przedsiębiorca nie miał... Nie tylko nie miał, lecz potrzebował na gwałt tysiąca zł na spłacenie weksla. Nasz murarz miał tysiąc złotych, owinięte w papier banknoty położył na stole...

— Proszę — powiedział do przedsiębiorcy i odtąd nie brakło mu pracy, ani robotników na morgach, które corocznie dokupywał. Sprzedających nie brakło. Ten sprzedawał na spłatę rodzinną, ów szedł na emigrację, inny przenosił się do syna na dobre już zadomowionego w mieście. Na oczach rosły te murarskie „fortuny", przekształcające murarzy i mistrzów w przedsiębiorców rolnych, korzystających z bezpłatnego, grzecznościowego robotnika rolnego. Byłoby przyznaniem się do niedołęstwa nie mieć w planie czegoś w rodzaju wzbogacenia się. To też niemal wszyscy młodzi nosili ideę „wzbogacenia się" jak żołnierze Napoleona buławę w tornistrze... Wzbogaceni stanowili naczelną klasę społeczną wsi, które nazywam wsiami z „pogranicza". Dla nich były szkoły i to najlepiej zawodowe, dla nich najryzykowniejsze przedsięwzięcia, ale w zakresie prywatnych interesów. Pod czterdziestkę resztki ideałów usychały jak jesienne liście.

W tym wieku rozwiewają się iluzje, w rękach i nogach zaczyna się strzykanie reumatyzmu, w żyłach często gęsto zwapnienia, alkoholizm, dobrotliwie i mile zagłuszający wszystko, czego dokonał w organizmie brak odżywczych witamin i kaloryj. Spotykam przed wojną prezesa oddziału Zw. Robotników Budowlanych i jak zwykle z miejsca polityczka... Powiada ten prezes:

— Wykłopotałem od przedsiębiorcy po 100 zł na słomę do sienników w baraku...

A każdy dalej główkę chowa w wiórach.

— No i co powiecie? Gdzie kultura?—rozkłada prezes ramiona. Ale ja wiem, dlaczego ci niekulturalni ludzie spali na deskach.. Dlatego, że sądzili, że po latach takiego spania, będą mieć aksamitne kanapy, sofy i fortepiany... Wierzyli w spryt, przede wszystkim „w szczęście" i mieli wielką pewność siebie, a pewność ta przedstawia niemałą wartość. Można być kiepskim fachowcem, wiele nie umieć, tajniki swego zawodu znać tylko po łebkach, ale braki te nadrobi się pewnością siebie. Udostępnione na szeroką skalę kursy zawodowe zdążyły już wypuścić szeroką rzeszę ambitnych majstrów i „podmajstrzych", a niebywały dotąd rozwój przemysłu budowlanego dał im pracę, nadrzędne stanowiska i doskonałe zarobki. Te ostatnie zużytkowane starochłopskim obyczajem — dokupieniem morgi — dały w rezultacie nowopowstające, szybko bogacące się gospodarstwa rolne i chociaż nie wszystkim dane było dopiąć celu, to jednak nie wzmagało to jeszcze dostatecznie poczucia konieczności głębokich reform społecznych. Młodzież biedna, pozostająca w tyle za swą przodującą częścią, niewiele tu znaczy i jest tylko cieniem i echem swoich przodowników.

IV. A JEDNAK

Jak powiedzieliśmy, ambitne plany tracą swą różowość w wieku lat czterdziestu. Nie wszystkim posłużyło szczęście i nie wszystkim dopisało zdrowie: pozostała gospodareczka z krowiną, w niej utonie nierentownie większość mularskich zarobków. Życie na ten dziwaczny i napoły tylko wiejski sposób wyczerpuje i nie daje zadowolenia. To też tu, w tej warstwie społecznej, są ludzie najchętniej nadstawiający ucha nadchodzącym nowinom...

Tu, jak mi się wydaje, najwcześniej przyjmie się i rozwinie unowocześnienie metod produkcji rolnej, które może upodobnić ich nareszcie do ludzi z miasta. Są oni zdania, że podobieństwo to wyrazi się m. in. emeryturą na starość, zniesie starcze wysługi na własnych gospodarstwach... ustanie pastusza wysługa, to nieszczęsne pasanie krów, kiedy zaniknie ich zdolność do prac poważniejszych. Mowa tych ludzi brzmi zawsze szczerze i zawsze pełna jest ironii... Niejeden z tych starych w chwilach usposabiających do szczerości mówi cedząc słowa:

— Zacząłem od pasania krów, obszedłem pół świata, przebyłem trzy wojny i znowu krówki sobie pasę...

A kiedy opowiadałem o tym wszystkim podczas dyskusji i kiedy zaproponowałem by wieś „samopomocową", tę bądź co bądź niebywałą nowość zacząć od ludzi, od właściwej klasy: biedoty i średniorolnych, którzy okrążają wokół Skowierzyn i wysługują się jego wielu zamożnym — i swoim nielicznym zamożnym, prelegenci z oburzeniem odpowiedzieli... Są oni zdania, że nie od ludzi, a od tłustości gleby i krów zaczynać należy.

— Nie można — powiedzieli — inwestować w lotne piachy, gdzie nawet żółty łubin wysycha... Skowierzyn stokrotnie odda każdy inwestowany grosz, a już dziś ma bydło, o jakie trudno gdzie indziej.

Nie było już możliwości dla dalszych nasuwających się uwag: przy takich zasobach i zamożności gospodarzy można być wsią wzorową bez wkładów z zewnątrz. Wieś taką stać na twardą nawierzchnię dróg, na elektryfikację i radiofonizację, stać na wspaniały budynek szkolny i dom ludowy i wszystko inne, ale taki wzór będzie znów jeszcze jednym Liskowem, jeszcze jedną wyspą na morzu biedy chłopskiej.

Tak skończyło się owo chłopskie zebranie, ale tylko to zebranie, sprawa bowiem biedoty i średniorolnych dopiero zaczęta. Przejdzie w ich ręce, a te się nie ustraszą perspektywy, na widok której pocili się 8 sierpnia na zebraniu pół-dziedzice.

*) St. Gębala: „Winowajcy" — „Wieś" Nr. 13—14—1948 r.

Tadeusz Różewicz

BALLADA O KARABINIE

Synku synku mój gołąbku
czemu krzyczysz w nocy
Synku synku serce moje
co się tobie stało.

Matko matko
byli tutaj w domu
serce twe przebili
głowę mi ucięli
dom nasz podpalili.

Matko
gdzie jest mój karabin.

Synku synku
co ci się przyśniło
wojna jest skończona
dom nasz stoi biały
w sadzie kwitną drzewa
synku synku mój gołąbku
co się tobie stało.
Matko matko
gdzie jest mój karabin
słyszałem ich kroki
widziałem ich twarze
pochowane w mroku.

Trzeba ich zabijać
wojna nie skończona
trzeba ich zabijać
w Grecji i Hiszpanii
w Chinach Indonezji
i nawet pod ziemią.
Albo przyjdą tutaj
i dom nasz podpalą
i wyrabią drzewa
i serce przebiją.
„Suche nasze głosy
kiedy szemramy

DO FAŁSZYWYCH POETÓW

cicho i naiwnie
jak wiatr w wyschniętej trawie
lub szczurze łapki w rupieciach
naszych pustych piwnic". (Eliot)

Są jak ubranka ptaków
po dwa
albo futrzane ubranka zwierząt
które lśnią
i spływa po nich woda

kiedy zamykają drzwi
jak gipsowe figury
tam wewnątrz
ze słodkimi uśmiechami idiotów
mówią „prawda? co to jest prawda?"
wznoszą oczy do nieba
wzruszają ramionami

a są to stworzenia które
mają po dwa języki
trzy oblicza
i sztuczne wnętrzności

kręcą się dokoła na kręgosłupach
obracają płaskie twarze na kręgosłupach
wieje wiatr wieje wiatr

przyciskam powieki

piszczą mają oczy rozbiegane
miękkimi pyskami dotykają
mojego serca.

1948 r.

Anna Kamieńska

O konserwatywnej satyrze chłopskiej

Nikt z piszących dotychczas o kulturze wsi i twórczości samorodnej chłopów nie zwrócił uwagi na rodzaj pisarski niezwykłej wagi w życiu środowiska wiejskiego — na satyrę.

Satyrykiem był pierwszy „poeta ludowy", pańszczyźniany chłop — Jan Rak piszący wiersze na odwrocie okólników gminnych i certyfikatów bydła. Satyry Raka były zaprawione ironią i jakąś ogólną mądrością życiową, drwił z wad ludzkich dobrodusznie i z humorem. Satyrę zupełnie polityczną uprawiał Adam Marzec („Wierszowadła z prostego kowadła") pismo satyryczne ludowe wydawał Jantek z Bugaja („Cepy").

Byłoby sprawą niezwykle ciekawą wykazać z jakich grup chłopskich wychodziła ta satyra, jaką pełniła funkcję w życiu wsi, skąd czerpała schematy formalne.

Tutaj pragniemy tylko pokazać dwa aktualne i świeżo powstałe na wsi wiersze satyryczne świadczące o żywotności naszego zagadnienia.

Pierwszy z nich, to utwór starszego chłopa, nazywającego siebie rolnikiem. Jakuba Kani z Siołkowic pow. Opole. Wiersz ten nosi datę 1948 roku, podczas gdy sądząc po stylu umieścilibyśmy go co najmniej trzy wieki wstecz.

Zestawmy z naszym „Wirszem o strojach górnośląskich" np. satyrę Piotra Zbylitowskiego (wiek XV) p. t. „Przygana wymyślnym strojom białogłowskim".

„...Dziwny strój widzę w tym to kole
Niewieściej płci, a żadnej Polki tu nie baczę,
Witam sam nie wiem kogo, nie wiem kogo raczę.

Nuż! nuż miłe niewiasty! jakoż się stroicie?
A na tym nędznym świecie co wżdy już broicie?
Cóż wam po takich wzorach złotem haftowanych?
Na tych siatkach niemocnych, wzorno malowanych.
Cóż wam po takim stroju, wymyślnej robocie?
Nie tak matki chodziły o tem dobrze wiecie.
Na co się wam przydadzą? na nic, dobrze tuszę.
Tylko na zatracenie wiodą wasze dusze".

Schemat treściowy identyczny: przygana cudzoziemczyzny (tu niemczyzny) — temat w szlacheckiej satyrze staropolskiej obowiązujący od Reya, zepsucie obyczajów i zanik bogobojności kobiet, pochwała dawności wobec czasów nowych.

Przecież nie chodzi tu o bezpośredni wpływ Zbylitowskiego ani też w ogóle satyry staropolskiej na wiersz naszego „rolnika". O czymś jednak świadczy istnienie tych samych treściowych wątków w utworach tak odległych środowiskowo i historycznie. Oto satyra na cudziemszczyznę i pochwała dawności aktualne dla szlachty w XVI wieku, kiedy to dokonywała się istotnie rewolucyjna przemiana — przejście z feudalizmu w gospodarkę folwarczną i pańszczyźnianą — zeszła do ludu i dziś jeszcze rości sobie prawo do aktualności w zmienionej społecznie perspektywie. Istotna i pozytywna aktualność tej satyry to właśnie protest przeciwko niemczyźnie w kulturze. Pozorna jednak aktualność polega na tym, że cudzoziemszczyzną w stosunku do wsi staje się w ujęciu autora to wszystko, co przychodzi z miasta. Moda miejska wdziera się na wieś, stąd zanik pięknych tradycji rodzimych — wiejskich, stąd zepsucie człowieka. Tak wygląda ludowa wersja wątku satyrycznego: „Na cudzoziemszczyznę". Oczywiste jest, że autor należący do starszego pokolenia wiejskiego tkwi w systemie kultury ludowej, której jednym z zasadniczych zewnętrznych przejawów był strój chłopski. Przecież entuzjaści pozytywistyczni nawoływali nawet inteligencję do zrzucenia stroju miejskiego:

„W siermięgi bracia, w sukmany!...
Kto chce ludowi przewodzić,
Nie dość, że mu lud kochany,
W ludu szacie musi chodzić"...

Tak więc zapóźnienie stylu literackiego wiąże się w wierszu Kani z anachronicznym (poza sprawą niemczyzny) trwaniem zagadnienia „cudzoziemszczyzny" na wsi z odpowiednim społecznym przestawieniem.

Druga z przedstawionych satyr ma ciekawy i bliski nam kontekst społeczny. Artykuł Józefa Mozgi i Dyzmy Gałaja „Przedsiębiorcy-działacze „Wsi" w nr 42 tygodnika „Wieś" poruszył opinię całego Godzianowa, wsi, na tle której autorzy umieszczali swój problem, z której czerpali typowe, wedłcg nich ,przykłady działaczy gospodarczych i kulturalnych, wychodzących z kręgu bogatych chłopów i traktujących swą wioskę jako własne zamknięte przedsiębiorstwo — w przeciwieństwie do nowych działaczy — biedniackich, którzy wskazują młodzieży cłopskiej ustrojowo - społeczne drogi awansu. Poruszeni Godzianowiacy, a zwłaszcza przedstawiciele i spadkobiercy kmieci godzianowskich wydelegowali dawną swoją nauczycielkę do dyskusji ze „Wsią", odezwał się także autentyczny Rybus ze wsi Bocheń, gdyż poczuł się w swej działalności kułaka „przedsiębiorcy" dotknięty. Zainteresowani dyskusją pisarze-korespondenci, zasypali redakcję swoimi opiniami w sprawie Godzianowa i działaczy wiejskich. Opinie te drukowaliśmy już w części w poprzednich numerach. Redakcja „Wsi" przeżywała „dzień Godzianowa" — wiersze, listy i przybycie autorów artykułów, którzy mieli wiele do powiedzenia w sprawie walki, jaka toczy się w Godzianowie na temat poruszony w artykule „Wsi". Pierwszą bronią w tej walce jest właśnie satyra. Krążą po okolicy odpisy wiersza anonimowego przeciwko jednemu z autorów artykułu. Wiersz ten, który drukujemy w całości jest drugim analogicznym do pierwszego — przykładem głębokiego trwania tradycji satyry staropolskiej na wsi. Wiersza „Lot ptaka godzianowskiego" nie umieścilibyśmy bliżej jak w XVIII wieku. Jest to satyra paszkwilancka, ostra broń śmieszności i „osławy" mobilizująca całą opinię środowiska przeciwko jednemu.

I tu znajdziemy motyw odpowiedni w satyrze staropolskiej. Czy ów „ptaszek spod góry Franaszka", przeciwko któremu zwraca się ostrze wiejskiego satyryka, nie przypomina mutatis mutandis osiemnastowiecznych satyr „na fircyka"? Oto Adam Naruszewicz w wierszu „O prawdziwem szlachectwie" kpi z takiego fircyka, który mimo, że stracił moralne prawa do szlachectwa — ubiera się weń i odważa się mniemać o sobie, że jest reprezentantem i dziedzicem wspaniałej tradycji szlacheckiej:

„Lecz mi się już uprzykrzył ów fircyk, co gnuśnie
Żyjąc, coraz to w oczy swoją mitrą chluśnie
I wyjeżdżą na popis, cudzym hardy plonem
Pawim się zalecając, jak kawka, ogonem..."

„Wspomnij miły ptaszku o swojej przeszłości" — kończy wiersz nasz chłopski anonim zwracając się wprost do przeciwnika.

„Hola, dumny Tarkwinie!" — nawołuje swego antagonistę Naruszewicz.

Zabawna odpowiedniość literackiej konwencji tu i tam polega na tym, że i nasz „ptak godzianowski"; autor artykułu we „Wsi", oskarżony zostaje o to, że bez prawa moralnego powołuje się na swoje związki ze środowiskiem chłopskim, na swą ludowość, która jest ludowością nowego chowu, ludowością, która z punktu widzenia obrażonych godzianowskich powag ma charakter uzurpatorski. Z całym tym społecznym przestawieniem nie jest dziwne, że gdy satyra Naruszewicza była postępowa, satyra naszego anonima stoi na pozycjach starego pokolenia, broniącego dawnego porządku. W myśl zasady: „Stara wiara twierdzi, młody niech słucha" — anonim wyklina młodego buntownika, przedłużając typowy dla wiejskiego środowiska w epoce przemian antagonizm starych i młodych.

St. Gębala pisząc o roli wiejskich korespondentów gazet wysuwa problem podobny. Dopominając się o sprawiedliwość i słuszną ocenę w opinii pozawiejskiej, pisarze chłopscy na wsi — korespondenci zyskują w opinii wsi miano ptaków, kalających własne gniazdo.

„Sporty literackie można uprawiać,
Lecz gniazdo wsiowe w kąty nie rozstawiać...",

oczywiście gdy gniazdo wsiowe to tradycją uznane na wsi autorytety, tradycją — jaką — jeśli nie parafialną?

JAKUB KANIA.

WIRSZ O STROJACH GÓRNOŚLĄSKICH

Ślązak się ubierał w czysto polskie stroje
Póki tu obczyzna nie weszła w podwoje,
[illegible] laty to długi kawał czasu,
Nie mało się wcisnęło tutaj tarasu,
Wpierał się gwałtownie między ludek polski,
Najprzód na Opolszczyźnie gdzie zalew germański
Dzisiaj jeszcze chodzą nasze babki Matki,
W długim stroju śląskim, ale już ostatki,
Nasze Matki noszą długie suknie strojnie,
Jest im to do twarzy jak i bogobojnie,
Na weselach, tańcach i różnych zabawach,
Gdzieby to chodzieło w strojeckich sprawach,
Wszędzie one bowiem swój egzamin zdały,
Teraz bojaźń córek by się nie wydały,
Jakby się we suknie swych matek ubrały,
I tak to zanika ten ładny strój śląski,
A z nim też znika i obyczaj polski.
Jedna to na drugą chełpliwie spogląda,
Nie wią to że matka Kardynała Hlonda,
Także ten długi śląski strój nosieła,
I od wszystkich ludzi szanowaną była.
A skąd to tu przyszła ta wielka przemiana,
Że córki rzucają od Matek ubrania,
Są niby to skromne niby to owiecki,
Lecz dają sobie syć tylko krótkie kiecki
A juzci ze to z miasta taki modny chwyt,
Ślązacki pokazują światu ten swój wstyd,
Boczną drogą górnośląskie samouki,
Wdzierają się do kultury jak i sztuki,
Smutno nam tu było na tem Górnem Śląsku,
Byliśmy zaniedbani na całym okrąsku,
Ach! — co to za boleść od swych zaniedbani
A od obcych Niemców zupełnie wzgardzeni
Krótkie suknie to ciemności owoce,
Nasze zaś matki splecione we warkoce
Zaś ich córki każda niby głową kiwa,
Bo na głowie włosy jak u konia grzywa,
Całe rozczochrane nie mają porządku,
To też do nasz przyszło z jakiegoś zakątku,
Jeszcze cóż nadmienić do tych naszych skargów,
Trzeba by tu wspomnieć o farbieniu wargów,
Przed niedawnem czasem my tego nie znali,
Teraźniejsza moda moze i to chwali,
Strój koło Bytomia na wsi jest w całości,
W Rybnickim, Raciborskim to tez jeszcze gości,
W Pszczęskim to galandą głowy ozdabiają,
Jak wesele huczne lub się zabawiają,
A zaś tam w Piekarach cepce wysywane,
Noszą je Matrony wstęgą ozdabiane,
A na wsi panuje ten długi strój śląski,
Co one mawiają to jest strój nasz polski,
Nie chcę pomalować juz starej studoły,
Więc tez nie chcę pisać tu zadnej pochwały,
Ale sobie myślę by to skutkowało,
To już trzeba pisać i to juz nie mało,
I to trzeba pisać choćby młotem walił,
By nasz ludek przejzdrzał cudzego nie chwalił,
Zeby to dziewecki, rzuciely swe kiecki,
Bo to obca moda i zwyczaj niemiecki,
Chłopi górnośląscy, to tylko tam w górach,
Chodzą w kamuzelach wszystkich roku porach,
Zaś tam w Opolszczyźnie już tego nie widać,
Musieli już dawno Niemcom na to przydać,
Mowę zatrzymali, strój szedł do kaduka.
Bronić przed zalewem była wielka sztuka,
My na Śląsku nie tylko mieliśmy te skarby,
Alez my nigdy nie zatracieli barwy.
I choć niejeden dostał łep kosmaty
Nic dziwnego to niewoli długie laty,
Wszystkich tam kosmatych już przycesać idzie,
Ino onem dopomódz w tej wielkiej biedzie,
Wiele to Niemcy pieniędzy wydawali,
Azeby lud śląski w swe sidła dostali
Gdzie tam po lasach jaki ludek skrajny,
To już zakładali niemieckie Vereiny,
Aleć wojna buchła z całym swem Impentem,
Musieli uchodzić z całym swoim sprzętem
Musiała uchodzić cała Germanija,
I juz tu nie wróci niemiecka bestya.
Niechby te to moje liche wiersze,
Znalazły tam serce jak najszczersze,
Niechby zachęciły do cytania,
Jak ja się nazywam.

Jakub Kania.

Siołkowice, 24. 11. 1948 r. pow. Opole.

LOT PTAKA GODZIANOWSKIEGO

Nie szumny to był lot, nie wielka fraszka,
Frunął ptak z gniazda z pod góry Franaszka.
Rósł jak każdy — w krawiectwie się ćwiczył,
Lecz fach ten rzucił — z mozołem się liczył,
Gdy dorósł nie szedł jak inni do miasta,
przesiedział na wsi UCZĄC SIĘ I BASTA,
Synem wsi się zwał, skończył nawet „Gacie"
Przed wojną tą kuźnię — więc o tym bracie
Kto skończył „Gacie" — mówię po raz wtóry,
Dziś się rozpycha i zbiera laury,
Lub inny ster lotu daje zakusie
Konika szuka, jeździ po Rybusie.
Nawet po Burzyńskich — chce wszystko scalić,
Warto więc za to żonkę mu pochwalić
Gacie zdobyła? jedna z Godzianowa —
Dziwić się dumie? też kobieta wsiowa,
Chociaż nie znosi wiejskiej znajomości
A że pretensje ma do wielkości
Któż dorówna z matron? gdzie? i która?
Jeśli jej syna chowała natura,
To postęp dziesiejszy — to jest wyjątek.
Temat ten przerwę, nie ten mój wątek.
Lot ptaka w B. Ch. o wolność miał troskę
W tym nawet synowi zdobył harmoszkę
U młodzieży grywał, i tu się szczyci
Przed wojną z „WIEJSKIEGO" OCHRZCIŁ NA „WICI" —
Taką po sobie ZOSTAWIŁ SPUŚCIZNĘ
PRZEKŁADAŁ NA NASZE SŁAWNĄ PAŃSZCZYZNĘ
O SZLACHCIE — KSIĘŻACH O CAŁEJ PRAWICY
ŚPIEWAŁ TO WSZYSTKO JAK PUSZCZYK W DZWONNICY.
NIE MIJAŁ OKAZJI — POWIEDZIEĆ SZCZERZE
GADAŁ NA PAMIĘĆ, JAK DZIAD PACIERZE.
Z ZACHWYTEM SŁUCHAŁA LUDOWA KLIKA
Ciesząc się, że będzie mieć społecznika.
I Endek jeden patrzył jak w obrazek
Żył z nim w przyjaźni bez żadnych urazek.
Nie wiem kto w tej spółce miał więcej racji,
Był może wpływ wojny — czy okupacji.
Wojna się skończyła, ptaszek udał Greka
SPLUNĄŁ W STARĄ KLIKĘ I KOPNĄŁ ENDEKA.
Skończył maturę, obrósł w lata nowe,
SERCE NOWOCZESNE PRZYBRAŁ LUDOWE.
I z Godzianowa machnął aż do Łodzi,
Dziś o rywalach artykuły płodzi.
Nie próżno się w swej nauce mozolił
Dziękuje opiece, że darmo się szkolił
Dziękuje serdecznie, w całym serca splocie
Zło u wszystkich widzi, jest też w kłopocie,
Bo znów nie mieści się w jego głowie,
który to człowiek pierwszy w Godzianowie.
Jest kościół ładny — plebania, szkoła,
Mleczarnia, spółdzielnia, wszystko dokoła,
Chór, orkiestra i Chłopskie Pomoce,
Kto to wszystko stworzył? i w jakiej epoce?
Tu jest z tym fraszka — ptaszka oczywiście,
Przypisał to wszystko szwagrze organiście,
Ku swej chwale, ku jego zaszczycie,
W prasie ogłosił, akt wchodzi w życie
A teraz ptaszku zadam ci pytanie,
Czy i Ty masz w sześcioletnim planie
Wszystko zniwelować? zrównać? czy zatrzeć?
Czy tylko lekko wszystko chcesz PRZEWIETRZYĆ?
Lecz licz się ptaszku — są już ludzie starzy,
Nie wszystkim wiaterek służy do twarzy.
My znamy ciebie, znamy twoje zdania
Zachowaj dla siebie te wachlowania.
Nie szybuj wysoko w słońcu wosk stopisz
Próżno jak Ikar w morzu się utopisz.
Radzimy — zmień lot — i w dół daj susa;
Odwołaj i przeproś nawet Rybusa.
Radzimy my wszyscy, my Godzianowiacy
Poszczególni, zrzeszeni i owacy.
Tak powiedz — krótko: że prawda oczywista
Pierwszeństwo ma pani, a nie organista.
Pani Krasnodębska skrzesiła ducha.

Stara wiara twierdzi, młody niech slucha.
A wreszcie komu przypada chwała,
To wie Godzianów i okolica cała.
NIECH SĄDU NIE DAJĄ SZTUBAKI, NĘDZARZE,
Lepiej niech z książką chodzą dalej w parze.
Jeśli ty ptaszku, nie masz mocnej wiary
To zostaw w spokoju ten nasz chór stary.
Nasze matrony niech nam dalej nucą,
Zapewniam, że Boga tym nie zasmucą,
Resztę pozostałych zostawmy w spokoju,
GDYŻ ONI CIĘ DŹWIGLI Z NĘDZY I ZNOJU.

Wspomnij miły ptaszku o swojej przeszłości,
Ludzi nie intryguj pod kątem zazdrości.
Sporty literackie można uprawiać,
Lecz gniazdo wsiowe w kąty nie rozstawiać.
Krytycyzm owszem jest bardzo potrzebny
Lecz zgodny z prawdą, szczery i rzetelny.
Kończąc swoją krótką, lecz luźną satyrę,
PROSZĘ TO PRZYJĄĆ JAKO DAR CZY MIRRĘ.

Stanowice

(Odpowiedź na Nr 42 — „Wieś")

Lili Szwengrub

A CO Z NICH BĘDZIE PÓŹNIEJ?

Między Warszawą, Łowiczem a Kutnem leży gmina Bąków. A w gminie tej, w Zdunach i Zduńskiej Dąbrowie (obok) jest gimnazjum i liceum ogólnokształcące i liceum rolnicze. Powstały po wojnie. Wybudowały się i urządziły. Połowa uczniów z gminy Bąków, 20 procent z woj. warszawskiego, po parę procent z innych województw, z łowickiego powiatu i łódzkiego województwa najwięcej.



Gmina liczy około 10.000 mieszkańców, 2034 gospodarstw.

Od 0 — 2 ha — 298
„ 2 — 5 ha — 404
„ 5 — 10 ha — 908
„ 10 — 20 ha — 412
powyżej — 20 ha — 12

razem: 2.034

Na terenie gminy jest 12 szkół powszechnych:

2 siedmio-klasowe
1 trzy-klasowa (7 oddziałów)
1 cztero-klasowa (7 oddziałów)
2 dwu-klasowe (6 oddziałów)
6 jedno-klasowych.

Tyle było i przed wojną. Przed wojną też wybudowana została i uruchomiona (1929 r.) **niższa żeńska szkoła rolnicza** w Zduńskiej Dąbrowie. Szkoła ta powstała na resztówce (22 ha) z inicjatywy Jadwigi Dziubińskiej.

Do roku 1939 ukończyło ją około 600 dziewcząt.

W okresie wojny szkoła była czynna. Utrzymywało ją powstałe w 1939 r. Koło Przyjaciół Szkoły Rolniczej (rodzice uczennic, około 60 osób) — dając 25 kg pszenicy od osoby miesięcznie.

W okresie wojny szkołę kończy:

w r. 1940 — 33 uczennice
1941 — 40 uczennic
1942 — 80 uczennic
1943 — 106 uczennic
1944 — 104 uczennice.

Zmienia się jednak charakter szkoły:

1. pod płaszczykiem programu szkoły rolniczej przerabia się materiał z zakresu szkoły średniej ogólnokształcącej;
2. szkoła chroni młodzież przed wywozem na pracę do Niemiec (co zwiększa napływ młodzieży);
3. 90% mołdzieży to dzieci wysiedlonych z terenów przyłączonych do Rzeszy.

Szkoła ma stałe kontakty z B. Ch., zajmuje się sprowadzaniem z Warszawy i kolportażem po wsiach książek polskich autorów (Mickiewicz, Słowacki, Norwid, Żeromski, Świętochowski, Chałasiński), wysyła stale 30 50 paczek żywnościowych polskim jeńcom wojennym.

Tu znajduje schronienie wielu poszukiwanych działaczy ludowych, artystów, nauczycieli. Po powstaniu warszawskim szkoła organizuje akcję pomocy wysiedleńcom Warszawiakom (na wigilii w szkole w 44 roku było ich 78).

W momencie wyzwolenia tajnymi kompletami objętych jest 173 osoby — młodzieży chłopskiej i robotniczej.

Potrzebna jest szkoła na miejscu. Personel nauczycielski (wysiedlony) pozostaje na miejscu. Gimnazjum znajduje chwilowe pomieszczenie w szkole rolniczej w Zduńskiej Dąbrowie, skąd po wyzwoleniu młodzież rozjechała się w rodzinne strony, zostały tylko 23 uczennice miejscowe.

Gimnazjum rozpoczyna pracę zaraz po wyzwoleniu 18.2.1945 r. — wcześniej nim ukonstytuowało się Kuratarium w Łodzi.

Personel nauczycielski opłacają rodzice. Powstaje Komitet Budowy Gimnazjum (z rodziców i nauczycieli). Tej samorzutnej akcji idzie w pomoc Rada Gminna, Powiatowa w Łowiczu, Wojewódzka, Kuratorium, Min. Oświaty, Min. Rolnictwa.

Komitet uzyskuje pozwolenie P. R. N. w Łowiczu i Kutnie na przewiezienie baraków celników niemieckich z pogranicza kutnowskiego. Przewożą je chłopi bezpłatnie. 5 maja 1945 r. zostaje skoszone żyto pod plac budowy (w Zduńskiej Dąbrowie).

W budowę idą fundusze państwowe, samorządowe, rodzicielskie, dotacje szkoły rolniczej i robocizna szarwarkowa wsi (987 bezpłatnych podwód — przy zwiezieniu materiału budowlanego), częściowo robocizna samorzutna, bezpłatna ze strony chłopców okolicznych, rodziców i nie rodziców — 18.11.45 r. budynek szkolny jest gotów. 9 klas, sala gimnastyczna, korytarz, hol, gabinet dyrektora, pokój nauczycielski, kancelaria, szatnia, ustępy, pokoje na bibliotekę i gabinet fizyczno - przyrodniczy. W budynku centralne ogrzewanie, kanalizacja i elektryczność.

W kilka miesięcy później stają dwa budynki mieszkalne dla nauczycieli (10 mieszkań 1—3 pokoj. z łazienkami i centralnym ogrzewaniem). Ogólny koszt budowy (i mieszkań) 5.320.711 zł (w tym 70 proc. z subwencji). Rozpoczęto budowę internatu. Na razie młodzież dochodzi, dojeżdża, bądź mieszka we wsi na stancji. Internat będzie oddany do użytku w roku 1949—50. Ale szkoła pracuje normalnie.

Latem 1947 r. wydano pierwsze matury 5 chłopcom (3 synowie robotników kolejowych, 1 syn gospodarza 17 ha, 1 syn gospodarza 10 ha). Ich dalsze losy?! 3 studiuje medycynę, dwóch na Wyższej Szkole Handlowej (Warszawa i Łódź).

Latem 1948 r. Liceum wydało 12 matur — 8 dziewcząt i 4 chłopców. Pochodzenie społeczne tej młodzieży:

7 z gospodarstw 1—5 ha
2 z gospodarstw 10 ha
1 dziecko felczera
1 dziecko nauczyciela
1 dziecko krawcowej, wdowy po robotniku

Losy tej dwunastki:

2 studiuje rolnictwo
2 studiuje biologię
2 studiuje medycynę
1 studiuje farmację
1 studiuje na W.S.H.
2 pracuje (biura)
1 w wojsku
1 — nie wiadomo



Grupa słuchaczek Żeńskiej Średniej Szkoły Rolniczej w Dąbrowie Zduńskiej

Z 25 absolwentów małej matury w roku 46—47 18 zostało w liceum na miejscu (liceum przyrodnicze), 7 poszło do liceów zawodowych

Z 50 absolwentów w roku 47—48 — 26 osób uczy się w liceum, reszta — poszła do szkół zawodowych (licea mechaniczne, elektrotechniczne, budownictwa okrętowego, rolnicze, handlowe itp.). Troje pozostało w domu. Pracuje.

*

Co się dzieje w tym czasie (45—48) w Szkole Rolniczej?

W roku 1945 w lutym było 23 uczennic. Gospodarstwo zniszczone po działaniach wojennych. 22 ha ziemi bez konia, bez większych maszyn. Cały inwentarz ruchomy — żywy i martwy, to 3 dojne krowy, 4 cielaki i 2 świnie, drobny sprzęt rolniczy. Brak funduszy. Szkoła była samorządowa — a gmina miała dosyć innych kłopotów — między innymi udział w budowie gimnazjum i liceum ogólnokształcącego.



Dożynki w szkole rolniczej w Zduńskiej Dąbrowie



Początek roku szkolnego w Gimn. i Liceum Ogólnokształcącym w Zdunach

Szkoła rolnicza musi być samowystarczalna.

Koszta utrzymania szkoły, internat, budynek, światło, opał, pomoce naukowe, inwestycje w gospodarstwo, to wszystko musi pokryć samo gospodarstwo (za utrzymanie młodzież płaci — oblicza się miesiącami koszty rzeczywiste produktów i gotowania). Młodzież w ramach praktyki pracuje w gospodarstwie (tylko 3 pracowników stałych).

W chwili obecnej gospodarstwo Szkoły Rolniczej posiada — inwentarz żywy: 4 konie, 2 źrebaki, 7 krów dojnych, 2 jałówki, 3 cielaki, 27 świń, 100 kur; z większych maszyn: 1 traktor, 1 ciągnik i 1 traktor ogrodowy.

Zmienił się jednak charakter szkoły, a w związku z tym wzrosła liczba uczniów, zwiększają się potrzeby lokalu, gospodarcze i finansowe.

W roku 1946—47 szkoła z 11-miesięcznej przekształca się w dwuletnią — czterosemestralną.

W roku 1947—48 w 3-letnią Szkołę Rolniczą.

Liczba uczennic:

1945-46 — 41 Niższa Szkoła Rolnicza
1946-47 — 40 Niższa Szkoła Rolnicza
1947-48 — 32 Średnia Szkoła Rolnicza.

W roku 1947—48 prowadzony był przy szkole Kurs Przygotowania do Liceum Gospodarstwa Wiejskiego, 2-letniego, (typu przedwojennego). Kurs ukończyło 12 uczennic. Poszły one do I klasy tegoż liceum, otworzonego w Zduńskiej Woli w roku 1948—49. Do drugiej klasy napłynęli uczniowie z innych liceów rolniczych i zawodowych (liceum koedukacyjne). Otworzono jednocześnie I klasę liceum rolniczego nowego typu (4- lub 5-letniego, po szkole powszechnej).

Ogólna liczba uczniów wzrosła z 44 w roku 47—48 — na 173 osoby w roku 1948—49.

Rok 1949 da pierwsze matury (14) Liceum G. W. w Zduńskiej Dąbrowie. Abiturienci to agronomowie społeczni. Część z nich pójdzie na wyższe studia. Część do pracy [illegible] ren. Być może do wytypowanych i zaczynających swoje życie w roku 1949—50 wsi spółdzielczych. Fundamenty tej szkoły, **niższej szkoły rolniczej**, zakładała kiedyś J. Dziubińska. Zakładała według programów „Pszczelina" (z pierwszych lat po 1900 roku). Szkoła uczyła obracać się **z korzyścią na swoim.** Uczeń **własnym, wzorowym gospodarstwem miał dawać przykład „sąsiadom".** Do szkoły, jak praktyka wykazała, szli synowie zamożnych gospodarzy i z latami prawie w całości ją opanowali. Kapitał wiedzy pomnożył szanse kapitalistów wiejskich.

Nowi absolwenci liceum rolniczego pójdą do **społecznej pracy** agrotechnicznej. Do **społecznej produkcji rolnej,** w 40 lat od czasów „Pszczelina" i „Zarania".

W tym nieomal telegraficznym przeglądzie powstania i rozwoju gimnazjum i liceum ogólnokształcącego oraz rolniczego w gminie Bąków, w środowisku chłopskim i robotniczym, pragnęłam jedno osiągnąć: doprowadzić czytelnika przez wartki tok spontanicznych dziejów obu gimnazjów i liceów do **momentu wylotu — wylotu maturzystów.** W moim sprawozdaniu **nie zniknęli oni nam z oczu.** Koniec gimnazjum, koniec liceum, **ale nie koniec z naszymi bohaterami.**

Po pierwsze, widzicie, że się nie zmarnowali, nie rozpłynęli, nie cofnęli. Są w szkołach zawodowych, są na wyższych uczelniach. Patrzało na nich „oko gminy" dotąd, patrzy teraz całej pracującej Polski. Po drugie — o co mi właśnie szło — Wy, szanowni czytelnicy, teraz myślicie: **a co z nich będzie „dalej"?** Inżynierowie rolnictwa, biologowie, lekarze? Ale jacy? Technicznie sprawni — oczywiście, to nieodzowne. Ale jak oni nabytą umiejętnością rozrządzą? Jak towarem? Kto da więcej? Choćby szło o chorych zagrożonych śmiercią?

Przedstawiłam przykładowo te dwie szkoły awansu chłopskiego, drogę do **przodownictwa w Polsce Ludowej,** ale nie poza nią i nie przeciw niej. Na tym przykładzie skupi uwagę „Wieś". Pytamy imiennie każdego z maturzystów, ze Zdun, jak studiuje, jak dojrzewa do uczestnictwa w kadrach przodowniczych Polski Ludowej? Czekamy na odpowiedzi.

Ale gimnazjów jest tysiące. Każda wieś, każde miasteczko jest zainteresowane swoimi. Instytucje, organizacje i te w rodzinnych stronach i te z terenu nowego pobytu szczeblującego w studiach mają prawo i mają obowiązek pytać: co z tobą chłopcze, co z tobą dziewczyno - pośle pokolenia? I niech pytają, pytajcie Czytelnicy!

Mieczysław Grad

Walka klasowa na wsi rzeszowskiej (V)

PIERWSZE STARCIE*)



Współczesne wesele w okolicy W.



„Przedstawienie" odegrane 24.VI.1926 r.

Kiedy po wojnie światowej i wojnie polsko-radzieckiej życie polityczne wsi W. poczęło „wracać do normy", weszło ono natychmiast w łożysko wyżłobione w okresie przedwojennym. Ci sami ludzie, kórzy wybili się na terenie Kółka Rolniczego, także teraz przewodzili wsi. Wprawdzie z ich grona ubył ów nauczyciel — założyciel Kółka w roku 1904, pełniąc bowiem w latach 1916—1919 obowiązki sekretarza gminy oskarżony został o nadużycia, jak zresztą ówczesny wójt, ośmiomorgowy zubożały kmieć. Obaj zostali usunięci z zajmowanych stanowisk. Nauczyciel zniknął niebawem z politycznego horyzontu wsi, przeniesiony służbowo w inne okolice. Następca jego próbował go w roli reformatora wsi godnie zastępować, szybko wchodząc w krąg kółkowej elity.

Okres wojny wywarł potężny wpływ na ideologię polityczną wsi, na której czele szła kmieca czołówka. W latach 1914—1918 kmiecie i część średniaków poczynili poważne postępy techniczne w swoich gospodarstwach. W tym to właśnie okresie względnej koniunktury dla galicyjskiego rolnictwa kmiecie zaopatrywali się w kieraty i wirówki oraz posyłali dzieci do gimnazjum. Nigdy już potem aż po rok 1939 ze wsi W. do gimnazjum w Łańcucie nie uczeszczała tak wielka liczba kmiecych i kmieco-średniackich dzieci, jak właśnie w okresie wojny.

Antyradziecka nagonka oficjalnej propagandy politycznej bezpośrednio po wojnie światowej utwierdziła kmieci i idąca za ich przewodem wieś w kapitalistycznej ideologii. O bolszewikach wieści we wsi chodziły wprost fantastyczne. Mówiło się nie tylko o tym, że znoszą własność prywatną, co przy całkowitym nierozumieniu socjalistycznej przebudowy ustroju siało blady strach nie tylko wśród kmieci i średniaków, ale i idących za nimi biedniaków, których liczba stale rosła, zbliża się po roku 1920 szybko do równie szybko rosnącej liczby średniaków. Biedniacy, którzy szli za kmieciami i średniakami a pod wpływem głównie ambony popadali w panikę, wyobrażali sobie bolszewików jako gorszych jeszcze od obszarników. Ci, to przynajmniej nie walczą z Bogiem, no i nie łakomią się na ten nędzny chłopski kawałek ziemi (wracający z frontu, chcąc zapewne ukazać się wsi w aureoli bohaterstwa, mówili o wojnie bez pardonu, bez brania do niewoli po obu stronach). Tak oto rządząca wówczas w Polsce, po krótkim okresie Rządu Ludowego klasa feudalno - kapitalistyczna wykorzystywała chłopskie uczucia narodowe w interesie zachowania własnych folwarków i fabryk, zohydzając w oczach ludu bolszewicką rewolucję.

Kapitalistyczne wyobrażenia o awansie społecznym i „mit parceli" otrzymały ponadto nowy zastrzyk „amerykański". Oto bowiem wróciła do wsi W. nowa i końcowa już, zatrzymana przez wojnę, fala reemigrantów ze Stanów Zjednoczonych. Ci dopiero przywieźli dolary! — zarobione w pracującym na całą parę przemyśle wojennym USA. Obok dolarów przywieźli również swoistą ideologię, już nie tyle religijną, co wyraźnie polityczną, mianowicie kult dla Paderewskiego.

Ale Paderewski nie był w stanie zagrozić autorytetowi przywódcy chłopskiego, jaki zdobył on już przed wojną. Cała wieś pod kmiecym przewodem zapatrzona była w Witosa, który kilkakrotnie stawał na czele rządu.

W roku 1919 w wyborach do Sejmu Ustawodawczego wszystkie głosy we wsi W. (prócz trzech) padły na „Piasta". Witos to był „swój chłop", taki z wąsami, w butach z cholewami i bez krawatki. Taki na pewno poprowadzi politykę w interesie chłopów. Witos miał tak wielki mir w całej wsi, że głosujący na „jedynkę" chętniej nazywali się sami witosowcami niż piastowcami. Kulminacyjny punkt wpływów Witosa we wsi W. przypada na rok 1921. Wtedy to powstało we wsi koło PSL Piast. Dotąd bowiem cała polityka odbywała się na terenie Kółka Rolniczego — organizacji partyjnej nie było. Piastowcowy aktyw we wsi W. wyrósł oczywiście z aktywu kółkowego. Był on więc kmiecy i kmieco-średniacki w swej klasowej treści, ale do koła zapisywali się także biedniacy.

Tymczasem kmieciom, którzy przed wojną i w czasie wojny prowadzili Kółko Rolnicze, zrobiło się po wojnie trochę ciasno w kółkowych ramach. Toteż założyli oni spółkę kapitalistyczną, wydzierżawiając sklep Kółka Rolniczego. Rozbudowali przy tym wyszynk, który w związku z politycznym ożywieniem wsi począł się nieźle rozwijać.

Ruszyła także, **na tej samej fali ideologicznej, a więc kmieco-kapitalistycznej** — młodzież, po raz pierwszy w dziejach wsi W.!

Zaraz po wojnie „dawało się we znaki" całej wsi zdziczenie obyczajów związane z pozostałościami wojny. Jeżeli bowiem przed wojną młodzież (oczywiście męska, bo dziewczęta żyły w tradycyjnym kręgu rodzinno-kuchenno-kościelnym) nie mając czym zabić czasu wolnego zwłaszcza w jesienno-zimowe wieczory i niedzielne popołudnia, dopuszczała się wybryków i różnych figli płatanych bądź sobie nawzajem, bądź też niektórym, nielubianym we wsi gospodarzom, przy czym awantury i bójki toczone tradycyjnie z „kawalerką" wsi sąsiednich kończyły się zwykle użyciem noża (takiego „świńskiego" — do zabijania świń w okresie Bożego Narodzenia czy też na Wielkanoc, który pakowało się zwykle przeciwnikowi między żebra lub za łopatkę) — to w końcowym okresie wojny i w pierwszych latach powojennych owa praktyka kawalerska przybrała formy naprawdę groźne. Szanujący się kawaler miał obowiązkowo broń palną w postaci tzw. „obrzynka", czyli po prostu karabin z obernżniętą lufą (żeby było łatwiej schować pod kurtkę). Oczywiście broń „biała" była także w użyciu (owe świńskie noże zostały częściowo wyparte przez bagnety) — ale tylko w walce wręcz. Natomiast obrzynki umożliwiały prowadzenie „wojny" na odległość. Zdarzało się nierzadko, że zwłaszcza w późny, niedzielny wieczór dochodziło do takiej strzelaniny, jak na prawdziwym froncie. Zdarzało się, że padali zabici i ranni. Takie wojny odbywały się najczęściej po pijanemu.

Wśród pewnej części młodzieży powstała myśl zaradzenia temu. Byli to głównie synowie kmieci, interesujący się pozytywną pracą swych ojców na terenie Kółka Rolniczego oraz synowie kmiecy uczęszczający do gimnazjum. Ci ostatni nabierali powoli „miejskich" tzn. drobnomieszczańskich manier, zwłaszcza poprzez pobyt na „stancjach" w Łańcucie i tym bardziej stawali się wrażliwi na rozwydrzenie i dzikość obyczajów swoich braci i rówieśników. W ten sposób doszło do powstania we wsi W. Koła Amatorskiego jeszcze w roku 1920. Takie amatorskie zespoły pojawiły się w tym czasie i w sąsiednich wsiach. Wreszcie w rok później owo Koło Amatorskie przekształciło się w instytucję stałą pn. Koło Młodzieży i zostało wciągnięte do sieci kół młodzieży istniejących przy Małopolskim Towarzystwie Rolniczym z siedzibą w Krakowie. Tak więc w 15 lat od założenia we wsi W. Kółka Rolniczego powstał tam jego młodzieżowy odpowiednik.

O tym, żeby koło młodzieży we wsi W. było rzeczywiście odpowiednikiem Kółka Rolniczego i żeby tam, broń Boże, nie przyplątało się coś niepożądanego, myśleli już panowie z krakowskiego MTR-u, którzy do W. przysyłali odpowiednie instrukcje, „apolityczne" książki i broszury, a przede wszystkim „sztuczki", na które było wielkie zamówienie. **Bo też istotną treścią pracy Koła Młodzieży było urządzanie „przedstawień".** Przedstawienia te rzeczywiście rozbudzały **określone** potrzeby kulturalne wsi, a jedną z głównych ich zdobyczy jest chyba to, że po raz pierwszy w historii dziewczęta w W. wyrwały się z owego zaklętego kręgu domowego wchodząc do życia społecznego wsi (przedstawienia wymagały ich udziału). Ideologię ówczesnego Koła Młodzieży łatwo odczytać z samych tytułów wystawianych sztuk: „Wujaszek z Ameryki", „Zrękowiny u Druzgały", „Lustracja u pana wójta", „Hanusia Krożańska", „Dziesiąty pawilon", „Żyd w beczce", „Człowiek który redagował gazetę rolniczą", „Cudowny doktór", „Kominiarz i młynarz", „Marcin Łuba". Okoliczność, że tego rodzaju działalności Koła Młodzieży patronował ówczesny kierownik szkoły, działając w duchu zaleceń swoich władz, kwalifikuje również **jednoznacznie** ideologię ówczesnej szkoły w W.

Owa harmonia we wsi W., w której pod egidą Piasta i MTR-u bezpośrednio po wojnie doszło do głosu **wszystko to, co zamazywało różnice interesów klasowych wewnątrz samej wsi**, niedługo przecież miała trwać. W roku 1920 we wsi było już tylko 11 rodzin kmiecych, natomiast **100 średniackich**, 75 biedniackich i 22 proletariackie. Tymczasem polityczny kurs wszystkich działających tam instytucji był kmieco - kapitalistyczny. Działalność polityczna kmieci, których liczba w porównaniu z r. 1900 zmniejszyła się 5 razy, odpowiadała ich sytuacji klasowo-ekonomicznej. Średniacy wyznawali kmiecą ideologię z tej racji, że pochodząc na ogół z kmieci mieli w sobie żywe tradycje kmiece, zresztą zwykle byli z kmieciami powiązani rodowo, no i każdy z nich żył ambicją awansu — powrotu do klasy kmiecej. Natomiast biedniakom i proletariatowi został tylko „mit parceli", który wiązał ich z kmieciami obok powiązań rodowo-kumotersko-patronackich. Biedniacy i proletariusze wyznawali faktycznie **cudzą** ideologię, która w ich sytuacji obiektywnej opierała się na złudzeniach, na niezdolności odczytania własnych interesów klasowych i realnych możliwości awansu społecznego.

Ale złudzeniami długo żyć nie można. Toteż autorytet Witosa tak silny zaraz po wojnie i w chwili zakładania we wsi koła PSL Piast wystawiony został na ciężką próbę w okresie trzykrotnych rządów przywódcy Piasta. W latach 1921—1926 rozwój sytuacji politycznej na terenie wsi W. przypominał akcję owej klasycznej greckiej tragedii: ilekroć Witos dochodził do władzy i im dłużej rządził, tym bliższy był przeznaczeniu, które we wsi W. miało go nieuchronnie dosięgnąć. Albo mówiąc słowami Manifestu Komunistycznego — im bliższy był szczytu własnych możliwości, tym bardziej stawał się grabarzem swojego znaczenia. Sprzeczność interesów klasowych musiała w końcu zwyciężyć nawet tak wybitnego i popularnego przywódcę, jak Witos, ów „swój chłop", w butach z cholewami i bez krawatki.

Czego spodziewali się od Witosa średniacy, biedniacy i proletariusze we wsi W. — w okresie jego rządów? Przede wszystkim **ziemi**, której, za wyjątkiem kmieci, brakowało wszystkim (średniacy mieli ją wprawdzie w ilości na razie wystarczającej, ale przecież dorastały dzieci, którym groziło już dziadostwo). Powtóre — spodziewali się **ukrócenia inflacji**, która najbardziej godziła w żyjących z pracy rąk a nie mających produktów na sprzedaż. Po trzecie — oczekiwali oni **uruchamiania zakładów przemysłowych i szkół**, gdzie by mogli iść ci, dla których nie starczało we wsi ziemi.

Jeżeli inflację można było wytłumaczyć powojennym chaosem, którego uporządkowanie wymagać mogło paru lat; jeżeli nieobecność przemysłu i szkół w podobny sposób mogła być wyjaśniona — to w oczach podstawowej, średniacko-biedniackiej masy chłopów w W. odwlekanie reformy rolnej niczym nie mogło być usprawiedliwione. Kiedy w dniu 7 lipca 1919 roku wskutek utrącenia w Sejmie przez prawicę obszarniczo-kapitalistyczną wniosku domagającego się, żeby górną granicę posiadania ziemi określić na 300 morgów, Wincenty Witos w imieniu wszystkich stronnictw ludowych oświadczył, że ich posłowie nie wezmą udziału w dalszych obradach i rzeczywiście chłopscy posłowie opuścili wtedy salę sejmową śpiewając „O cześć wam, panowie magnaci..." — przywódca „Piasta" cieszył się pełnym zaufaniem i poparciem całej wsi W. Kiedy ramowa ustawa o reformie rolnej uchwalona w dniu 10 lipca 1919 r. większością 1 głosu doczekała się wreszcie rozporządzenia wykonawczego w rok potem, w krytycznej chwili marszu Armii Czerwonej na Warszawę — można było jeszcze we wsi W. czekać, ażeby zobaczyć, jak to wykonanie wyglądać będzie w praktyce.

Kiedy jednak praktyka wykazała, że z kilkuset hektarów pobliskiego folwarku hr. Potockiego na parcelację przeznaczono jedynie kilkadziesiąt ha, które w dodatku dostały się w ręce tych, którzy mieli pieniądze, by za nie zapłacić (parcelacja z wykupu!), jak na przykład jeden „Amerykanin", który na nabytej w ten sposób ziemi założył duże kmiece gospodarstwo, kiedy zaledwie 4 kuczników zdołało nabyć po mordze pola zadłużając się przy tym beznadziejnie w obliczu zwłaszcza nadchodzącej stabilizacji waluty i wprowadzenia w miejsce marek — złotego — stało się wreszcie we wsi W. rzeczą jasną, w czyim interesie działa Wincenty Witos. Kiedy na dobitkę Witos w maju 1923 r. pojechał do Lanckorony zawierając tam osławiony pakt z obszarniczym Związkiem Ludowo-Narodowym i z klerykalną Chrześcijańską Demokracją, a w parę dni potem utworzył rząd „chieno - piasta" — dla średniaków, biedniaków i proletariuszy z W., stało się zupełnie jasne to, o czym już w lutym 1920 r. pisał „Przyjaciel Ludu":

„W dawnej Polsce rządzili tylko panowie szlachta przy pomocy księży, a w nowej Polsce mają przystąpić do owej spółki jeszcze i kmiecie piastowcowi, czyli ma to być Polska **szlachecko - księżo - kmieca** podkreślenie moje — M. G.) [1]

We wsi zawrzało. Przeciwnicy Witosa nie ograniczali się do przypominania jego starych, jeszcze przedwojennych grzechów i napiętnowania konszachtów z obszarnikami i klerem. Wypominano „Piastowi" przede wszystkim obecność w jego kierownictwie różnych hrabiów — Reyów, Długoszów, Lasockich, Kędziorów, którzy, rzecz jasna, ciągnęli stronnictwo na prawo. Poza tym jednak oburzano się na różne nadużycia piastowców i piastowcowej administracji. głośnym echem odbiła się we wsi zwłaszcza „afera dojlidzka" jeszcze w roku 1921,[2]) teraz dopiero skutecznie we wsi W. wykorzystana dla skompromitowania „Piasta". Kto tej antypiastowcowej akcji we wsi W. przewodził? Przewodzili jej dwaj reemigranci z Ameryki a



Zlot Kół Młodzieży w Łańcucie 1922

*) Patrz prace M. Grada: „Wieś" nr. 43 — „Walka klasowa na wsi rzeszowskiej". „Wieś" nr 44 — „Wieś W. na społeczno-gospodarczej mapie świata"; „Wieś" nr 46 — „Struktura klasowa wsi w XX wieku"; „Wieś" nr 47 — „Kmieco-kapitalistyczna młodość „warstwy chłopskiej".

[1]) „Przyjaciel Ludu" z dnia 15 lutego 1920 r.

[2]) Informuje o niej szczegółowo Tadeusz Rek w „Ruchu Ludowym w Polsce", wyd. II z 1947 r., t. II, str. 93 i 94.

zwłaszcza ów „heretyk", który już przed wojną nie dowierzał Witosowi. Tak oto cała wieś szybko podzieliła się na 2 obozy. Jeden obóz był **starokmiecy, piastowcowy, witosowy.** Należeli doń prawie wszyscy kmiecie oraz ci średniacy i biedniacy (a nawet jeden proletariusz) którzy związani z nimi byli węzłami rodowo-patronackimi. W drugim, z dnia na dzień potężniejącym, gromadziła się reszta wsi. Jego treść klasowo-ekonomiczna była **średniacko - biedniacka.** A treść ideowo-polityczna? Po dwu latach intensywnego poszukiwania miejsca (1924—1926) w ówczesnym chaosie partyjnym na terenie małopolskiego ruchu chłopskiego obóz ten wylądował ostatecznie w Stronnictwie Chłopskim. **W ten sposób we wsi W. rozpoczęła się wewnętrzna walka klasowo-polityczna.**

Toczyła się ona tak na odcinku partyjno-politycznym, jak na terenie lokalnych instytucji. „W ogłoszonej deklaracji ideowej Stronnictwo Chłopskie zapowiedziało dążenie do: porozumienia z robotnikami, rzemieślnikami i inteligencją pracującą; walki z wyzyskiem, ciemnotą i klerykalizmem; wprowadzenia samorządu parafialnego oraz przekazania majątków kościelnych na własność parafian; wprowadzenia wybieralności wojewodów i starostów; przyjaznej współpracy z chłopami białoruskimi i ukraińskimi; wywłaszczenia ziemi obszarniczej bez odszkodowania, z pozostawieniem obszarów do 50 ha[3]). Czymże ten rejestr dążeń Stronnictwa Chłopskiego odbiega od „teorii" i praktyki „Piasta"? W gruncie rzeczy chyba tylko **bardziej konsekwentnym antyfeudalizmem.** Witos i Bojko w początkach XX wieku głosili ideologię antyfeudalną, liberalno-kapitalistyczną, której sprzeniewierzyli się w sposób jaskrawy, idąc do Lanckorony. Poza tym, przynajmniej na terenie wsi W. **bazowali na klasie kmiecej, utrudniając walkę z feudalizmem wewnątrz tzw. warstwy chłopskiej.** Kiedy w roku 1924 na podatny grunt we wsi W. trafił slogan czołowego przywódcy Stronnictwa Chłopskiego — Jana Dąbskiego o „klasowości" ruchu chłopskiego, podchwycili go średniacy a za nimi biedniacy, ale nie rozumieli go w sensie marksistowskim. Nie rozumieli bowiem tego, że **w interesie klasy średniaków i biedniaków z W. leży nie tylko wymiecenie resztek feudalizmu, ale także przebudowa ustroju z feudalno-kapitalistycznego na socjalistyczny, ponieważ w ustroju kapitalistycznym, w historycznych warunkach ówczesnej, półkolonialnej Polski nie było dla nich, a tym bardziej dla ich dzieci, perspektywy awansu społecznego.** Średniacy i biedniacy we wsi W. w chwili zakładania tam Stronnictwa Chłopskiego, którego wyżej wspomniany przywódca Jan Dąbski również chyba nie był socjalistą, choć postulował klasowość ruchu chłopskiego (nie ma przecież chłopskiej klasy jest ich wewnątrz tzw. warstwy chłopskiej — kilka) — myśleli kategoriami kapitalistycznymi i chcieli poprawy własnego losu **wewnątrz** istniejącego systemu. Dlaczego tak dużo mówili o nadużyciach piastowcowych polityków? Bo w nadużyciach tych i konszachtach **Witosa z prawicą widzieli jedyne źródło zła.** Nie widzieli go **w ustroju, który funkcjonował przeciw nim.**

Na terenie samej wsi W. ostrze natarcia zorganizowanych w Stronnictwie Chłopskim średniaków i idących za nimi biedniaków skierowało się przeciw kmieciom, którzy okopali się nie tylko w Kole PSL „Piast" lecz także w gminie i w Kółku Rolniczym. W wyniku kilkuletniej ofensywy, w której prócz Stronnictwa Chłopskiego brali udział także członkowie Koła Młodzieży — **ci chcieli się wyzwolić spod feudalnego wyzysku własnych rodziców**, krępujących działalność społeczną młodych — kmiecie przyzywający na pomoc wszelkie możliwe autorytety tradycyjne z plebanią na czele, w ciężkiej **klasowej walce** zmuszeni byli wycofywać się na coraz ciaśniejsze pozycje. W r. 1927 na dramatycznym posiedzeniu Rady Gminnej zmieniona została zasada wymierzania szarwarku. Do tej pory szarwark był „od numeru", choć ustawa już od kilku lat uzależniała jego wysokość od wysokości podatku gruntowego. Obecnie więc postanowiono zastosować tę ustawę we wsi W., mimo oporu a nawet sabotażu kmieci. W roku 1932 miejsce staro-kmiecej spółki dzierżawiącej sklep i wyszynk Kółka Rolniczego, objął średniak. Również na odcinku „wielkiej polityki" kmiecie przegrywali. W r. 1928 w wyborach do sejmu przygniatającą przewagę nad „Piastem" już osiągnie Stronnictwo Chłopskie. W taki oto sposób kończyła się we wsi W. przewaga klasy kmieci, którzy trwając uporczywie na wczorajszym stanowisku stali się **reakcją**, podczas gdy sztafetową pałeczkę **postępu** z ich zgrzybiałych rąk **przejęli średniacy prowadzący za sobą biedniaków.**

Tymczasem na terenie „wielkiej polityki" w roku 1926 „przewrotu majowego" obalającego właśnie rząd Witosa dokonał „socjalista Piłsudski, a więc — **zdawałoby się** — sojusznik średniaków walczących na wsi W. z kmieco-piastowcową reakcją. Tocząca się tam już wyraźnie walka klasowa weszła w nową fazę.

(c. d. n.)

Mieczysław Grad

[3]) T. Rek, op. cit. t. II str. 168 i 169

Józef Choczyński

Stapiński przeciw ks. Stojałowskiemu

(O „Ludowym Towarzystwie Ochrony Ziemskiej własności" i pierwszym starciu ks. S. Stojałowskiego z Janem Stapińskim)

1. ZALAŃSKI, WYBORY, TOWARZYSTWO ZALICZKOWE

W latach osiemdziesiątych ubiegłego stulecia dużym rozgłosem cieszyło się wśród bardziej uświadomionych włościan nazwisko niejakiego **Franciszka Zalańskiego.** Z jego to nazwiskiem związana jest pierwsza instytucja chłopska w Galicji — **„Ludowe Towarzystwo Zaliczkowe i Ochrony Ziemskiej Własności w Wadowicach".** Również z jego nazwiskiem wiąże się masowy udział ludu polskiego ze wszystkich ziem polskich w pogrzebie Adama Mickiewicza w Krakowie w r. 1890.

Zalański — według tego, co o nim pisał **Józef Czapik**, wójt choczeński, w Nr 14 „Pszczółki Ilustrowanej" z r. 1890 — pochodził z powiatu bialskiego. Być może, że pierwotne jego nazwisko brzmiało Papla, gdyż Stojałowski w późniejszych czasach dokuczał mu przyczepianiem tego przezwiska do nazwiska używanego. Czapik pisał o Zalańskim, że był to „mąż, pochodzenia włościańskiego, rodak z Pisarzowic, w sprawie i wiedzy obchodzącej braci włościan uzdolniony i bogaty przez wykształcenie się stosowne i badanie sprawy włościańskiej". Gdy zaś „podjął trud prowadzenia towarzystwa ludowego ochrony ziemi, **porozumiawszy się w kraju naszym z różnymi włościanami w kilkunastu powiatach**, którzy równie uznali potrzebę zaprowadzenia tego towarzystwa i przyrzekli je wspierać, przeto też — pisze Czapik — wszyscy my włościanie spieszymy pomagać w tej sprawie naszej".

Wójt choczeński Czapik, pochodzący ze starej rodziny chłopskiej, od wieków osiadłej w Choczni, był nie tylko gospodarzem, ale wyszkolił się także u miejscowego organisty w grze na organach, pełnił służbę organisty przy kościele parafialnym choczeńskim, a ponadto w czasach, gdy szkolnictwo zdane było na inicjatywę prywatną, uczył u siebie dzieci choczeńskich gospodarzy. Od r. 1856 do r. 1900 przez 44 lata był wójtem gminy Choczni, wchodził też w skład wydziału powiatowego i w gronie chłopów ziemi wadowickiej był w poważaniu. W r. 1883, pamiętnym z ubijania chłopskich kandydatur na posłów sejmowych przez stańczykowski centralny komitet wyborczy, Czapik wysunięty został na kandydata przeciwko stańczykowi profesorowi Zollowi, ale go utrącono. Przy następnych wyborach w r. 1889 współpracował z pierwszym komitetem włościańskim w Jaśle i również wysunięty został na kandydata. I tym razem upadł otrzymawszy 54 głosy, gdy przeciwnik jego, stańczyk Zoll, uzyskał 137 głosów. Polityka zbliżyła Czapika do Zalańskiego.

W owym czasie Zalański był dyrektorem filii smutnej pamięci likwidowanego „banku włościańskiego" w Jaśle. Pozostawał on w stosunkach z ks. Stojałowskim, a na terenie ziemi jasielskiej propagował ideę politycznego usamodzielnienia ludu. Dużo było jego pracy i zasługi w tym, że na ziemi jasielskiej powstał **pierwszy komitet włościański**, który postawił sobie za cel wybranie posłów zależnych od ludu, a nie od partii stańczykowskiej.

Na terenie jasielskim zetknął się też z Zalańskim Stapiński, wówczas uczeń gimnazjum jasielskiego. Przez Zalańskiego zaś Stapiński zapoznał się z wydawnictwami Stojałowskiego, a także z metodami pracy społecznej i politycznej na wsi. Z Zalańskim zaznajomił Stapińskiego prof. gimnazjum jasielskiego Pawłowski. W trójkę interesowali się zbliżającymi się wyborami do sejmu, wyznaczonymi w kurii wiejskiej na dzień 2 lipca 1889 r. Uplanowali wówczas wysunąć w kurii wiejskiej powiatu gorlickiego kandydaturę prof. Pawłowskiego, jako syna chłopskiego z tamtejszej wioski Krygu, zaś na powiat Krosno Jana Skwarę, wykształconego włościanina z Targowisk, wreszcie na powiat Jasło włościanina Jana Sobonia z Rosztok. Propagandę prasową za tymi kandydaturami objął w „Wieńcu polskim" i „Pszczółce Ilustrowanej" (wydawn. Stojałowskiego) Zalański, zaś w „Przyjacielu Ludu" Wysłoucha — Stapiński.

Po otrzymaniu świadectwa maturalnego w dniu 4 czerwca 1889 już w następnym dniu odbył Stapiński dwa zgromadzenia przedwyborcze w Tarnowcu i Rosztokach w powiecie jasielskim, następnie 6 czerwca w Iskrzyni i Suchodole w powiecie krośnieńskim, a od 8 czerwca do dnia wyborów wiecował na gorlickiej Łemkowszczyźnie. Po ukończeniu wyborów — przy których niestety wszyscy kandydaci tamtejszych komitetów chłopskich upadli — Zalański zaangażował Stapińskiego na swojego zastępcę w prowadzeniu filii banku włościańskiego w Jaśle, dając mu pobory 150 reńskich miesięcznie i mieszkanie dwupokojowe z światłem i opałem, sam zaś wyjechał z rodziną do Wadowic, gdzie się osiedlił, aby oddać się prowadzeniu zakładanego w Wadowicach przez siebie przy pomocy wójta Czapika, włościańskiego towarzystwa a raczej banku parcelacyjnego. Opowieści, jakoby inicjatywa założenia towarzystwa wyszła od posła Kramarczyka i jakiegoś notariusza z Osieka, nie odpowiadają prawdzie, jak również przypisywanie zasług związania tego towarzystwa ks. Stojałowskiemu. Inicjatorem był Zalański, któremu z uwagi na zamierzoną likwidację filii banku włościańskiego w Jaśle groziła utrata tamtejszego stanowiska, toteż chciał stworzyć nową instytucję, w której znalazłby, jako dyrektor dla siebie utrzymanie. Dla zjednywania członków posłużył się także nowoobranymi posłami Kramarczykiem, Strękiem i Potoczkiem, którzy w swych okolicach przyrzekli mu członków zjednywać, a Wadowice obrał na siedzibę towarzystwa tak ze względu na bliskość rodzinnej wioski Pisarzowic, jak i dlatego, że Wadowice były i są centralnym punktem ziemi oświęcimsko-zatorskiej, gdzie już wtedy włościaństwo tak pod względem uświadomienia jak i gospodarstwa stało wysoko i dlatego mogło dać oparcie finansowe dla zakładanej instytucji. Ks. Stojałowski w owym czasie ścigany był przez wierzycieli, a nawet pozostawał w śledztwie sądowym o przestępstwo lekkomyślnej „krydy", toteż nie mógł służyć jako atrakcja dla nowozakładanej finansowej instytucji. Jedynie Zalański posłużył się wydawnictwami Stojałowskiego do zamieszczania w nich na koszt towarzystwa komunikatów. Co prawda, to Stojałowski wyobrażał sobie, że w towarzystwie wadowickim będzie miał sobie oddany banczek, to też początkowo dość gorliwie propagandą towarzystwa się zajmował.

2. UDZIAŁOWCY, UDZIAŁY I FANTAŚCI FINANSOWI

Założycielskie zgromadzenie towarzystwa odbyło się 5 września 1889 r. przy udziale 29 uczestników, reprezentujących 57 udziałów członkowskich. Wśród udziałowców **najsilniejszą grupę stanowili chłopi,** było ich bowiem 21, a to z powiatu sądeckiego 7 (między nimi Potoczkowie—Stanisław, poseł do sejmu i Jan późniejszy poseł do rady państwa), z Choczni pow. wadowickiego 4, z powiatu bialskiego 4 (2 krewni Zalańskiego z Pisarzowic oraz poseł Kramarczyk z synem), 3 z Haczowa pow. brzozowskiego (zjednani przez Stapińskiego), 1 z ropczyckiego (poseł Stręk), 1 z jasielskiego (prezes włościańskiego komitetu wyborczego Jasiński), oraz 1 z powiatu wielickiego. Tych 21 chłopów wpłaciło 36 udziałów, po 10 reńskich udział i przyjęło dalszą porękę kwotą 20 reńskich. Z inteligencji przystąpili do towarzystwa 1 budowniczy z Rzeszowa, 1 nauczyciel z Choczki, 3 księża, proboszcz z Wieprza, proboszcz z Regulic, ten z 10 udziałami i wikariusz z krakowskiego kościoła Panny Maryi), demokratyczny poseł Romanowicz oraz Franciszek Zalański z 10 udziałami i wkładką oszczędnościową 1200 reńskich, który też został obrany dyrektorem towarzystwa, do nadzoru zaś wybrany został wójt Czapik i kierownik szkoły z Choczni Wiśniewski, oraz 3 posłowie włościańscy.

Następne miesiące poświęcono propagandzie za zjednywaniem udziałowców i reklamie walnego zgromadzenia, zwołanego na 19 maja 1890 r. Propaganda była skuteczna. Największą liczbę udziałowców dał powiat wadowicki, głównie wsie Chocznia, Wieprz i Barwałd Górny (75), drugim z kolei był powiat sądecki, trzecim brzozowski (głównie wieś Haczów), a wreszcie powiaty: wielicki, bialski, chrzanowski, tarnowski, jasielski, krośnieński, pilzneński, gorlicki, ropczycki, łańcucki i jarosławski. Agitacja była trudna, gdyż chłopi zawiedzeni bankructwem kilku towarzystw zaliczkowych, a nade wszystko ohydnymi praktykami likwidowanego „banku włościańskiego", nie byli skłonni do angażowania się w interesy towarzystwa, zwłaszcza, że już wówczas roznosiły się wieści o przepadnięciu pieniędzy, złożonych ks. Stojałowskiemu na podróż do Jerozolimy i na złotą lampę do Grobu Chrystusa. Mimo tych trudności towarzystwo zdołało skupić około 700 udziałowców, wśród których 95 procent stanowili chłopi. Kapitał zebrany z udziałów wynosił 7000 reńskich, wkładki oszczędnościowe około 1 i pół tysiąca reńskich, wszystko to jednak było zbyt nikłe, aby można było na tej podstawie rozpoczynać obejmowanie dworów w parcelację, regulowanie zobowiązań ciążących na ziemi dworskiej i oddawanie nabywcom osad wolnych od ciężarów hipotecznych. Dyrektor Zalański był fantastą, literatem, typem **„pozytywistycznego romantyka"**, który zamki budował na lodzie, a fabryki zakładać chciał bez kapitału, na podstawie składeczek uiszczanych przez robotników. Ktoś, gdzieś nagadał mu, że towarzystwo uzyska 360 tysięcy guldenów kredytu w Banku Krajowym, o ile zmieni statut **i przyjmie w nowym statucie odpowiedzialność nieograniczoną członków za interesy towarzystwa.** Podzielił się tą nowiną ze Stojałowskim, drugim podobnym mu „finansistą" i obaj rozpoczęli w prasie agitację za zmianą statutu, która mogła stać się nieszczęściem towarzystwa i zrujnować majątkowo wszystkich jego członków, nieograniczenie, tj. całym swym majątkiem odpowiedzialnych za interesy towarzystwa.

O zmianie statutu miało zadecydować walne zgromadzenie zwołane na 19 maja 1890 r. Któżby wówczas mógł przypuścić, że to walne zgromadzenie zadecyduje nie tylko o losach towarzystwa, ale i o kierunku i biegu polityki chłopskiej w Galicji. **Wadowice były miejscem, gdzie z okazji walnego zgromadzenia po raz pierwszy w życiu spotkali się i poznali dwaj trybuni ludu Stojałowski i Stapiński. Wadowice stały się wtedy miejscem starcia między starym majstrem propagandy politycznej Stojałowskim, a młodym adeptem tej sztuki Stapińskim.**

3. WYSTĘP STUDENTA STAPIŃSKIEGO

Stapiński wspominał, że akcja wszczęta przez Zalańskiego i Stojałowskiego za wprowadzeniem nieograniczonej poręki, skłoniła go do zasięgnięcia rady u prof. Pawłowskiego, co o tym sądzić. Pawłowski zaznajomił Stapińskiego z dyrektorem miejskiej kasy oszczędności w Jaśle, Basińskim, a ten uświadomił go o niebezpieczeństwach, jakie stąd mogą wyniknąć dla członków. Wręczył mu też spis upadłości różnych towarzystw zaliczkowych z nieograniczoną poręką, które pociągnęły za sobą zlicytowanie członków na podstawie nieograniczonej odpowiedzialności. Z tymi dowodami w ręku, a także w poczuciu odpowiedzialności za nakłonienie 50 chłopów do przystąpienia do wadowickiego towarzystwa, Stapiński oznajmił Zalańskiemu, że jest stanowczym przeciwnikiem nieograniczonej poręki i będzie odnośny wniosek na walnym zgromadzeniu zwalczał. Na to Zalański zareagował natychmiastowym odebraniem Stapińskiemu agend w filii „banku włościańskiego" i mieszkania w Jaśle. Stapiński wyjechał wtedy do Lwowa i tu **w redakcji „Kuriera lwowskiego" zetknął się po raz pierwszy z Wysłouchem i Rewakowiczem**, z którymi utrzymywał dotąd kontakt korespondencyjny. Zamieścili oni w swojej prasie artykuły ostrzegawcze przeciw nieograniczonej poręce i dali Stapińskiemu wolne redakcyjne bilety do Wadowic na walne zgromadzenie. Ponieważ obaj znali osobiście Stojałowskiego z czasu jego wikariatu we Lwowie i proboszczostwa w Kulikowie, więc ostrzegli Stapińskiego, że będzie miał trudną i przykrą z nim przeprawę. We wspomnieniach pisze Stapiński że „opinia tych obydwu mężów o ks. Stojałowskim była zatrważająco ujemna". Z odezwą pt. **„Do uczestników zjazdu w Wadowicach"**, wydrukowaną na czele „Przyjaciela Ludu" Nr 10 z datą 15 maja 1890 roku w paru dniach objechał członków przez siebie zjednanych z prośbą, aby pojechali z nim na walne zgromadzenie do Wadowic, albo, aby mu dali pełnomocnictwo zastępcze. Dnia 18 maja 1890 r. przybył do Wadowic wraz z Józefem Boczarem i Janem Rzepskim z Haczowa, Wincentym Krzysikiem z Jasienicy Rosielnej, Franciszkiem Szubrą z Suchodoła, Stanisławem Miezinem z Krościenka Niżnego i Janem Furmankiem z gorlickiego. Każdy z nich miał po 10 pełnomocnictw dozwolonych przez statut. „Miałem już — pisze Stapiński — głosów pewnych 47. Z Wadowic udaliśmy się do sąsiedniej wsi Choczni do prezesea rady nadzorczej p. Czapika, aby mu przedłożyć nasz sprzeciw co do nieograniczoności poręki. Sędziwy p. Czapik, wójt, pisarz i organista w jednej osobie, przyjął nas uprzejmie, przeczytał moje artykuły i odezwy, wysłuchał naszych ustnych wyjaśnień i zapewnił nam swobodę głosu na walnym zgromadzeniu następnego dnia, ale swego zdania nie wyjawił. Powróciwszy do Wadowic wieczorem, zastaliśmy tam posłów sejmowych Franciszka Kaczmarczyka, Stanisława Potoczka i Wojciecha Stręka, tudzież liczną gromadę członków chłopów aż od Lwowa, Przemyśla, Rzeszowa itd. Wręczyłem wszystkim swoje odezwy, ale żadnej dyskusji nie było wskutek różnych przeszkód Zalańskiego i drugiego dyrektora, Wiśniewskiego. Ks. Stojałowski przyjechał dopiero w nocy. Nazajutrz 19 maja 1890 r. od wczesnego rana byłem już na rynku obok lokalu wyznaczonego na walne zgromadzenie i rozdawałem przyjezdnym i przychodnym członkom przestrogi przeciw nieograniczonej poręce. Zalański i ks. Stojałowski widzieli te przygotowania, ale tak byli swego pewni, że zjawili się dopiero na sali o godzinie 9, w chwili rozpoczynania obrad walnego zgromadzenia. Zreferował sprawę Zalański. Między innymi powodami zmiany poręki na nieograniczoną podał, że Towarzystwo liczy już 1000 członków i ma przyrzeczoną pożyczkę 300 tysięcy reńskich z Banku Krajowego, ale pod warunkiem, że poręka będzie nieograniczona. Skoro to oznajmił, poszedł szmer po sali. Oczy członków spojrzały na mnie w taki sposób, że wstąpiła we mnie otucha zwycięstwa. Natomiast ks. Stojałowski, któremu wskazał na mnie Zalański, przestał się uśmiechać, zorientował się. Zaczął się nasz pojedynek słowny, który trwał siedem godzin, a skończył się tak, że **za nieograniczoną poręką padło tylko 18 głosów, a za moim wnioskiem zatrzymania poręki ograniczonej do podwójnych udziałów, to jest 20 złr, głosowało całe zgromadzenie.** W dyskusji posuwał się ks. Sojałowski do obelg i podejrzeń przeciwko mnie, ale to tylko pomniejszało jego wpływ, a mój powiększało. **Choć jezuita, spowiednik i redaktor, ale szlachcic, nie znał logiki chłopskiej, i nie poznał jej aż do ostatka.** Dlatego przegrywał walki ze mną jako chłopem. Po zgromadzeniu podszedł do mnie, mówiąc: „Galileae vicisti!" Przedstawiłem się i po raz pierwszy wówczas, 19 maja 1890 r., poznałem osobiście ks. Stojałowskiego. Rozmowa była krótka. **Wyczułem, że mi tej klęski nie zapomni.** Wyczucie moje okazało się trafnym. Moje sprawozdanie z przebiegu obrad i uchwał tego walnego zgromadzenia, pomieszczone w „Przyjacielu Ludu" z 1 czerwca 1890 było bezstronne, rzeczowe, bez żadnych zaczepek przeciw ks. Stojałowskiemu. Przemówienie moje podane obszernie w tym sprawozdaniu jest dowodem, że pragnąłem zgodnej pracy. Natomiast ks. Stojałowski w „Pszczółce" z 8 czerwca 1890, w artykule na 8 stronicach rzucił się na mnie, na „Przyjaciela Ludu" i nowo założone 20 maja 1890 r. we Lwowie **„Towarzystwo Przyjaciół Oświaty".** Mnie zarzucił bezbożnictwo, socjalizm, masoństwo itp., a chłopów **strzegli przedemną, jak przed „złym duchem",**

Egon Erwin Kisch

Ilustr. Karol Baraniecki

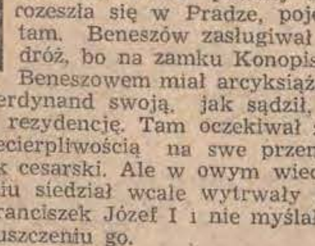
POWÓDŹ W KONOPISZTE*)

EGON ERWIN KISCH

ur. w 1885 r. w Pradze należał do najwybitniejszych pisarzy-bojowników o sprawiedliwość społeczną. On właśnie był twórcą gatunku zwanego reportażem. Zwiedził niemal cały świat, który oglądał oczyma pisarza-rewolucjonisty, służąc piórem sprawie proletariatu. Napisał książki o ZSRR, Chinach, USA, Meksyku, Australii. Po pożarze Reichstagu w 1933 wtrącony przez Hitlera do więzienia, wydostaje się do Francji, stamtąd do Meksyku, skąd wrócił po zakończeniu wojny do Czechosłowacji. Zmarł w 1948 roku w Pradze.

Opowiadanie niniejsze pochodzi z tomu wspomnień z lat dziecinnych o Pradze pod zaborem monarchii austriackiej.

Na wieść o powodzi w okolicy Beneszowa, która pewnej niedzieli rozeszła się w Pradze, pojechałem tam. Beneszów zasługiwał na podróż, bo na zamku Konopiszte pod Beneszowem miał arcyksiążę Franciszek Ferdynand swoją, jak sądził, prowizoryczną rezydencję. Tam oczekiwał z nietajoną niecierpliwością na swe przeniesienie na zamek cesarski. Ale w owym wiedeńskim mieszkaniu siedział wcale wytrwały lokator, cesarz Franciszek Józef I i nie myślał zupełnie o opuszczeniu go.



Gdy syn jego, następca tronu Rudolf, zastrzelił się w 1880 roku w Mayerlingu, jego kuzyn Franciszek Ferdynand został następcą tronu austro - węgierskiego. Cesarz Franciszek Józef miał wtedy lat sześćdziesiąt i był ciężko chory, a nowy następca szykował się, aby wkrótce wstąpić na tron. Minął rok wyczekiwania, minęło lat dziesięć, minęły dwa dziesięciolecia, ćwierwiecze, a gdy w roku 1914 strzały w Serajewie zabiły czekającego na spadek następcę tronu, spadkodawca Franciszek Józef wciąż jeszcze żył.

Wówczas gdy jechałem do Konopiszt, aby napisać o powodzi, czas wyczekiwania Franciszka Ferdynanda osiągnął był swój osiemnasty rok. Wokół niego i jego zamku krążyły różne pogłoski, które wzbogaciły się właśnie mistyczną nutę: znakomity angielski hodowca roślin został powołany do Konopiszt, by poprzez skrzyżowanie gatunku rosa canina i rosa rugosa wyhodować gatunek czarnych róż. Zaledwie echa o próbach tych przedostały się do wiadomości publicznej, różni kasandryczni wieszczbiarze zwrócili się w listach do wydawcy „Times'a" z zapytaniem: czy nie wiadomo z historii Anglii, iż skoro zakwitnie czarna róża oznacza to, że zostanie popełnione morderstwo i po nim nastąpi wojna? A cóż dopiero, skoro zakwitnie ona w domu księcia, którego dłoniom powierzono przyszłość Europy środkowej?

Na szczęście hodowca botanicznego zwiastuna nieszczęść uspokoił współczesnych: według teorii chromosomów, która opiera się na nauce Mendla o dziedziczności, przy krzyżowaniu dzikiej róży męskiej z dziką różą żeńską z każdych stu potomków dwadzieścia pięć jest białych jak tata, a dwadzieścia pięć różowo-czerwonych, zupełnie jak mama. Z pozostałych pięćdziesięciu, piętnaście najbardziej ciemnych zostaje poddanych stosunkom płciowym z tatą lub mamą, po czym piętnaście najciemniejszych z tego kazirodczego stosunku ponownie poddaje się stosunkom z ich rodzicami i dopiero po siedmiu latach może się narodzić gatunek o zupełnie czarnej pigmentacji. Według tego do lata 1914 roku los austriackiego następcy tronu jak i pokoju jest dla tych, co w takie przepowiednie wierzą, zapewniony.

Prawdopodobnie wydawca „Times'a" stanął wobec tego listu jak osioł Buridana, albo lepiej powiedziawszy, Puritana. Z jednej strony nie mógł tej gorszącej historii o hodowli jednorodnej, która była wstępem do wyprodukowania mieszańców, podać swoim czytelniczkom, z drugiej jednak strony oświadczenie botanika nadawało się do zapewnienia City i jej akcjom stałości siedmioletniej.

Jak zwykle, decyzja między moralnością a gospodarką wypadła na korzyść drugiej. Opinię publiczną pouczono, że chromosomy nie kryją na razie w zanadrzu ani zamiarów mordu ani zapędów wojennych i nikt nie mógł wnioskować, że powódź pod Konopisztem jest wynikiem eksperymentów z różami. W istocie, w porównaniu z tym, co nastąpiło później, nie można jej było nawet nazwać katastrofą, a jeśli ją jednak tak nazwano, stało się to dlatego, że nikt nie znał rozmiarów nadciągających katastrof.

Pociąg, który mnie późnym wieczorem przywiózł na miejsce wydarzeń, był ostatnim. Wkrótce po jego przybyciu wody wezbrały na wysokość nasypu kolejowego Własim — Beneszów i zalały szyny.

W Benszowie zbadałem to, co można było zbadać. Na telegraficzny rozkaz następcy tronu ściągnięto nawet z najdalszych garnizonów okręgu wojsko i żandarmerię. Działalność żandarmów polegała na konfiskowaniu ryb, które wypłynęły ze stawu następcy tronu na drogę wiejską, gdzie wieśniacy je chwytali. Cesarsko-królewskie pułki pionierów miały usypać wał, który by chronił piwnice zamku przed zalewem.

W gospodzie hotelu „Pod Lwem", gdzie notowałem moje spostrzeżenia, siedzieli ludzie, których twarze przeorane były rozpaczą. Gospodarz szepnął mi, że człowiek siedzący w kącie jest właścicielem zatopionych dóbr w Libesz. Milcząca, przygnębiona rodzina u okna jest rodziną młynarza ze wsi Krupiczka; jego młyn, nieubezpieczony, spłonął w ubiegłym roku, za ostatnie oszczędności znów go wybudował, a teraz zalała i zniszczyła go woda.

Zapytasz, drogi czytelniku, gdyż jesteś z natury nieufny, jakim sposobem zapamiętałem do dnia dzisiejszego nazwy wsi czeskich Libesz i Krupiczka. W rzeczywistości, gdyby mi ktoś wtedy w gościnnej izbie hotelu „Pod Lwem" przepowiedział był, że po okresie dłuższym niż żywot ludzki będę z pamięci spisywał, że ów siedzący w kącie człowiek jest właścicielem dóbr w Libesz, a rodzina u okna rodziną młynarza z Krupiczki, to uważałbym takiego proroka za gadułę.

Czyż mogłem przeczuć, jak bardzo pełna była kronika ślepego Metodego? Całe lata później słyszałem go śpiewającego pieśń o powodzi ze strofami o właścicielu dóbr z Libesz i młynarzu z Krupiczki, który — tu głos ślepego Metodego wzbijał się skargą chóru żałobnego — nie był ubezpieczony.

Gospodarz i goście hotelu „Pod Lwem" opowiadali o straszliwych scenach. Powódź nastąpiła nocą. Mieszkańcy wsi pouciekali, za nimi biegły fale i ścigały ich. Fale zbiegały się nad dachami murowanych domów, zatapiały ludzi, konie i krowy, znosiły drewniane chaty, niszcząc zbiory zwiezione do stodół jak i tamte na polach.

„A w zamku?" zapytałem.

W zamku? No, rozumie się, że park został także zalany, a grobla stawu zerwana. Ale samemu zamkowi nic się nie stało. Arcyksiążę pozostawał cały czas na miejscu.

Tymczasem zapadła noc i chciałem udać się do mego pokoju. Żandarm o zawziętej



twarzy, który w sieni wlewał w siebie piwo, był moim kapralem instruktorem z 11 pułku. Chciałem go wypytać, ale uprzedził mnie: „Powiedz pan, jako człowiek uczony będzie pan to wiedział — czemu to musimy tym biednym ludziom odbierać zdechłe ryby i odnosić je do zamku? Proszę, niech mi pan powie, co arcyksiążę robi ze zdechłymi rybami?"

Nie mogłem na to pytanie dać żadnej odpowiedzi. Wypiłem piwo z moim byłym nauczycielem musztry i położyłem się.

Na dworze grzmiało i błyskało i lało, wiatr gwałtownie usiłował zerwać balkon mego pokoju, podczas gdy strumienie deszczu próbowały potłuc szyby. Wobec tego, że nie mogłem zasnąć, uporządkowałem fakty, które dotąd zebrałem. Dotyczyły one losu wieśniaków — byli bez chleba, bez dachu, bez środków. Ale nie zostałem tu przysłany, aby opisywać ich katastrofę. Dla gazety ważna była mała przykrość cesarskiego księcia, a nie wielkie nieszczęście kilkuset chłopów.

Komiczne było pytanie tego żandarma! Naprawdę, poco są arcyksięciu potrzebne te zdechłe ryby? Nie potrzebowałem jednak męczyć się odpowiedzią, bo o arcyksiążęcym rozkazie zbierania ryb i tak nie wolno mi było nic napisać, podobnie jak o ściągnięciu wojska dla ochrony piwnic.

Choć byłem tak młodym dziennikarzem, miałem już za sobą pokaźną ilość przemilczanych faktów, które wzrosły do bardzo wielkiej liczby, zanim się zestarzałem. Gdy moi koledzy chełpią się, że nigdy nie ograniczano ich w tym co pisali, że nigdy nie skreślono im nawet jednej myśli, jest to tylko dowodem, że z własnej woli obracają się w granicach cenzury, a sposób ich myślenia nigdy nie wybiega poza przepisową ideologię.

Z wielkich rozmiarów katastrofy pozostała mi do opisu jedynie mała cząstka, mianowicie zamek przyszłego cesarza. Ale również i na to była cenzura, przede wszystkim w Pradze. Tam potrafił sobie następca tronu zapewnić poważne wpływy: szef policji politycznej, komisarz Chum, spowiednik z Konopiszt hrabia Galen, opat z Emmaus Alban Schachleitner i szef sztabu generalnego podpułkownik Alfred Redl byli jego mężami zaufania i robili katolicką i wielko-austriacką politykę po jego myśli. Także przywódca partii narodowo-socjalistycznej, dr Karol Swiha, znajdował się na żołdzie arcykięcia, co było jeszcze wówczas tajemnicą, wkrótce jednak miało dać powód do skandalu.

O wszytkim, co pozostawało w związku z następcą tronu, czy to były złowróżbne czarne róże, czy też sfałszowana płaskorzeźba św. Jerzego, którą pewien handlarz dzieł sztuki wkręcił arcyksięciu, prasa zagraniczna, wiedeńskie i budapeszteńskie gazety rozpisywały się o tym szeroko, podczas gdy wpływowi „przyjaciele naszego pisma" przekonywali naczelnego redaktora „Bohemii" o bezcelowości rozgłaszania tego. Gdy zaręczyny następcy tronu z czeską hrabianką Zofią Chotek interesowały świat, wolno nam było zaledwie przytoczyć dzieje domu choteckiego, nie podając ani ech zagranicznych, ani głosów wiedeńskiej prasy.

Najzwięźlejsze nawet sprawozdanie z zamku zostanie jeszcze skrócone. Musiałem tu jednak dołożyć wszelkich starań. Następnego dnia wynająłem w Beneszowie dwukonkę oraz cylinder, aby pojechać do zamku. Jak należało oczekiwać, żandarmi stojący u bramy pozwolili pełni uszanowania przekroczyć ją panu, który wysiadł z arogancką miną i cylindrem na głowie. Niezatrzymany szedłem przez park.

Podłużny, oddzielny budynek zawierał zbiory św. Jerzego. Od lat arcyksiążę skupował wizerunki świętego Jerzego, o ile nie pozwalał sobie składać w podarunku, gotyckie rzeźby w drzewie, liche gipsowe figurki, renesansowe malowidła i oleodruki, sztukę i knoty.

Że następca tronu identyfikował się z zabójcą smoka, wydawało się jasne, kogo miał jednak wyobrażać smok? Jaka zdobycz zadowoliłaby tego zapalonego myśliwego, któremu ne wystarczało ustrzelenie tysięcy jeleni i saren?

Dopiero po śmierci podwójnej monarchii ukazały się listy następcy tronu, z których większość rozpoczynała się retorycznym zwrotem „przepraszam za ołówek". Dowiedziano się z nich, że smokiem było dla niego wszystko. W cholerycznym tonie pisze o kamaryli dworskiej, otaczającej Franciszka Józefa, która przeciwstawiła się jego małżeństwu i o bezwstydnych politykach i dziennikarzach, którzy się do tego wtrącili. Węgrów ograniczających potęgę dynastii Habsburgów nazywa „kossuthową zgrają", włoskich irredentystów „Katzelmacherami", Serbów „gwałcicielami kóz" i wymyśla poza tym na masonów, Żydów, parlament i socjalistów.

Zajrzałem przez okno do tej niezwykłej kaplicy św. Jerzego. Woda nie zagasiła ognia tryskającego z paszcz smoków i nie w obawie przed wzbierającą wodą święci Jerzowie unosili się w strzemionach. Zanotowałem w dziennikarskim trybie warunkowym, że jeździec z koniem mógłby utonąć tylko wówczas, gdyby woda jeszcze wyżej wezbrała. Natomiast rosarium nie było nawet warunkowo zagrożone, szeroka drewniana brama była zamknięta i zdolna stawić czoło burzy wodnej, tak, że posępne kwiaty mogły spokojnie rozwijać się. Również słynny, bezcennej wartości zbiór broni był bezpieczny na górnych piętrach zamku.

Rozglądając się badawczo szedłem przez mokry park. Po drugiej stronie klombu w kształcie herbu stali dwaj panowie. W jednym rozpoznałem następcę tronu, drugi podszedł do mnie i zapytał, co tu robię. Odpowiedziałem mu, że jestem sprawozdawcą prasowym z Pragi. Pospieszył ku następcy tronu i wrócił do mnie, tym razem usztywniony energią. Ostrym tonem, który przybrał od swego pana, oświadczył: „Ani słowa w prasie o zamku. Niech pan natychmiast opuści posiadłość".



Wobec czego natychmiast opuściłem posiadłość. Stosowanie się do pierwszej części rozkazu nie było moją sprawą, o to już będą troszczyli się prascy mężowie zaufania Franciszka Ferdynanda.

Zaledwie nadałem z urzędu pocztowego w Beneszowie ostatnie słowo mego skąpego sprawozdania, rozległ się w słuchawce telefonu głos starego Hermanna Katza. Hermann Katz był członkiem naszej redakcji i jednocześnie praskim korespondentem wiedeńskiej „Neue Freie Presse". Miał mi zakomunikować, że jeszcze dziś muszę podać bezpośrednio do „Neue Freie Presse" oryginalne sprawozdanie o skutkach powodzi na zamku, odmienne od tego, które właśnie dałem do Pragi.

Zanim zdołałem odpowiedzieć, Hermann Katz objawił mi uroczystym tonem, że pan Benedikt dowiadywał się, kto z „Bohemii" pojechał do Konopiszt i powiedział dosłownie: „Niech pan powie panu Kischowi, że to jest moje osobiste polecenie".

De iure pan Benedikt nie mógł mi powierzyć żadnego polecenia. De iure nie miałem nic wspólnego z „Neue Freie Presse", której wydawcą był Maurycy Benedikt. De facto jednak sprawa wyglądała inaczej. De facto powinnością naszej redakcji było zważać na najlżejsze skinienie Maurycego Benedikta. W przeciwnym bowiem razie mógł on wybrać swojego praskiego korespondenta ze sztabu redakcyjnego innej gazety. Wtedy stracilibyśmy polityczne wiadomości, które Hermann Katz, jako przedstawiciel jedynego austriackiego wielkiego dziennika wszędzie łatwo otrzymywał. Również powaga „Bohemii" wymagała, aby regularnie cytowano jej polityczne poglądy zawarte w sprawozdaniach Hermanna Katza.

Poza tym jeszcze był Maurycy Benedikt uosobieniem wpływów i potęgi, jakkolwiek jego dziennikarskie jedynowładztwo poczynało kruszeć. Liberalizm i austriacki centralizm, okres wolnego handlu dogorywały; wiedeńskie drobnomieszczaństwo zorganizowało się reakcyjnie, proletariat socjalistycznie, narody podległe Austrii podważały hegemonię Niemców austriackich, a zwolennicy czasopisma „Die Fackel", wydawanego przez satyryka Karola Krausa i zwróconego głównie przeciwko Maurycemu Benediktowi, stanowili fanatyczną wielotysięczną gminę.

Maurycy Benedikt nie przyjmował tego wszystkiego do wiadomości. Obecnie tak jak i dawniej, dziennik jego uchodzić miał za biblię, on zaś za arcykapłana. Gdy jeden z jego sprawozdawców parlamentarnych podał mu pewną wiadomość i nadmienił, iż zobowiązał się pod przysięgą na razie jej nie ogłaszać, Maurycy Benedikt wstał, wyciągnął po kapłańsku ramiona i rzekł: „Oto zwalniam pana z przysięgi".

Starzy abonenci odnosili się do pisma niezmiennie tak, jak jego wydawca mógł sobie tego życzyć: przysięgali na każde słowo. Pisarz Artur Holitscher opowiadał mi kiedyś, jak rodzina wyrzekła go się, ponieważ poświęcił się literaturze zamiast zostać kupcem lub studiować. Listy do jego matki wracały nieotwierane, jego chęć zbliżenia się do rodzeństwa napotykała na najobraźliwszy opór nawet wówczas, gdy osiągnął powodzenie swymi książkami i dramatami. Tym bardziej był Artur Holitscher zdziwony, gdy nagle otrzymał od swojej rodziny listy z prośbą o przebaczenie. Co się stało? Zdarzyło się, że „Neue Freie Presse" wymieniła jego nazwisko wśród znakomitości zebranych na jakiejś imprezie.

Opowiadano sobie w Wiedniu, że cesarz Franciszek Józef zapytał w czasie audiencji kompozytora Antona Brucknera, czy ma jakieś życzenie, na co Bruckner, zalany łzami, wykrzyknął; „Czy Wasza Cesarska Mość mógłby wstawić się za mną słówkiem, żeby pan Hanslick stale mnie nie ganił?"

Nie, tego cesarz nie mógł, tu cesarz tracił swoje prawa. A przecież Edward Hanslick był jedynie krytykiem muzycznym „Neue Freie Presse".

Teodor Herzl, który miał wkrótce w obliczu zdumionego świata — dyskutować z cesarzem Niemiec przed bramami Jerozolimy nad projektem stałej żydowskiej siedziby w Palestynie, Teodor Herzl, który zabiegał o uregulowanie problemu żydowskiego na dworze sułtana w Konstantynopolu i na dworze cara w Petersburgu, tenże Teodor Herzl sumiennie wpisywał do swego pamiętnika, jak go za każdym razem przyjmował wydawca „Neue Freie Prasse", szczęśliwy gdy tenże raczył z nim rozmawiać, nieszczęśliwy, gdy na jego ukłon chłodno tylko odpowiadał.

I oto ja, młody człowiek z prowincji, otrzymuję osobiste polecenie od samego Pontifex Maximus Benedictus, polecenie wypełnienia całej stronicy. Ta strona nie padnie ofiarą cenzury praskiej kliki arcyksiążęcej, bo niedawno rozegrała się między Franciszkiem Ferdynandem a Maurycym Benediktem walka, z której następca tronu wcale nie wyszedł zwycięzcą.

W zaręczynach Franciszka Ferdynanda z hrabianką Chotek widział Maurycy Benedikt powód do przyszłych komplikacji w dziedziczeniu tronu. Tylko publiczna, pod przysięgą potwierdzona rezygnacja z dziedziczenia tronu przez żonę i potomstwo może uchronić Austrię przed powtórzeniem się wojny sukcesyjnej z czasów Marii Teresy. Rozumie się, że takiego poglądu nie wolno było wypowiedzieć otwarcie, ale Maurycy Benedikt mógł przecież szeroko cytować zagraniczne głosy prasy i przemówienia parlamentarne. Poza tym zamówił u słynnych prawników i historyków „ogólne", „nieaktualne" artykuły na temat, czy małżonka cesarza, która zgodnie z habsburskimi prawami sukcesji nie jest cesarzową Austrii, może mimo to być królową Węgier i Czech, oraz jakie skutki pociągnie to za sobą.

I choć kwestię tę traktowano uczenie i w oderwaniu od teraźniejszości, z wściekłością i nie szczędząc gróźb odpowiadał organ



Franciszka Ferdynanda, chrześcijańsko-socjalna wiedeńska „Reichspost" i jej eksperci, przeważnie wyżsi duchowni zaatakowali Maurycego Benedikta osobiście z nienawiścią zgoła nieduchowną.

Arcyksiążę mógł poślubić hrabiankę Chotek, ale przed ślubem musiał przysiąc, że rezygnuje z tytułu cesarzowej i królowej dla swojej żony i z następstwa tronu dla swych przyszłych dzieci. Tę przysięgę mógł Maurycy Benedikt zaksięgować jako swój sukces, ale był to sukces, za który Franciszek Fer-

*) Z tomu „Jarmark sensacji", który ukaże się nakładem Prasy Wojskowej w tłumaczeniu Stanisława Wygodzkiego.

dynand po wstąpieniu na tron odpłaciłby mu gorzko.

Narazie Maurycy Benedikt był tym, który stał u władzy, a ja byłem dziś tu z jego polecenia. W cylindrze pojechałem dwukonką po raz drugi do zamku. Warta ponownie pozwoliła mi przejść, co było mniej zadziwiające niż za pierwszym razem, bo teraz odbijała się z pewnością na mojej twarzy duma, że jestem pełnomocnikiem wielkiego dziennika.

Z drzew kapał deszcz na mój cylinder, kałuże opryskiwały mnie, ja jednak nie zważałem na to, byłem całkowicie zajęty gromadzeniem wrażeń. Moje sprawozdanie miało być sprawozdaniem, jakiego nawet najstarszym abonentom „Neue Freie Presse“ nie zdarzyło się czytać.

Szedłem wzdłuż brzegu wezbranego stawu rybnego. Brzeg przestał być brzegiem, nogi miałem w glinie, a głowę na Parnasie. Tworzyłem dla Maurycego Benedikta, który czekał na moje sprawozdanie, tworzyłem przeciwko arcyksięciu Franciszkowi Ferdynandowi.

Wielokrotnemu św. Jerzemu chcę dać jednolite rysy, opisać jego młodzieńczość, smukłą postać i gładką twarz, a jego wzrok pozwoli odgadnąć, jak odległą była mu dotąd chęć zabicia zwierzęcia... jednym słowem wydobędę to wszystko, co podkreśla różnicę między rycerzem Jerzym, a grubym, wąsatym, namiętnie polującym panem zamku. Uśmiechając się złośliwie postanawiam pisać o kształtnych figurach gipsowych i ładnych oleodrukach, wyobrażających świętego Jerzego.

Tym razem szeroka drewniana brama rosarium była otwarta. Właśnie wjeżdżały dwie taczki pełne ryb.

„Dla rosarium?“ — spytałem pomocnika ogrodnika.

„Tak, nawozimy zawsze resztkami, a przy okazji również zdechłymi rybami. Jednak tak drogich i tak wiele naraz jeszcześmy nigdy nie mieli“.

Godny nawóz, myślałem w duchu, godny nowóz pod czarną różę: martwe ryby wyrwane głodnym ludziom. Tego jednak nie wolno mnie nawet w Wiedniu powiedzieć. Ale nawet i bez nawozu zakwitnie w moim sprawozdaniu czarna róża, złowróżbna roślina wśród wesołych, jasnych kwiatów pokoju i radości.

Wszedłem na nasyp. W środku nasyp został przerwany, mogę posunąć się tylko do trzymetrowej wyrwy. U moich stóp szaleje wir, jakby płynne szpony chciały pochwycić resztki kamiennej przeszkody, aby ją zerwać. Gdy się odwracam i robię panoramiczne notatki, ktoś ukazuje się po drugiej stronie wyrwy. Arcyksiążę!

— Niesłychane! Przecież kazałem panu powiedzieć: nie zniosę, aby coś o zamku dostało się do gazet — krzyczy.

Z jego źrenic błyskają groźby, które znają swoje działanie. Ale tracą swą moc w stosunku do mnie, bo zostałem tu przysłany przez kogoś wyższego. Ponad przepaścią rozbrzmiewa moja odpowiedź: „Cesarska Wysokości, o tym co ma się ukazać w „Neue Freie Presse“, nikt inny nie decyduje...“

Przy słowie „Neue Freie Presse“ staje się czerwony jak indyk, jego palce zaciskają się, jakby chciały kogoś udusić.

„...nikt inny nie decyduje, tylko pan Maurycy Benedikt.“

Z tymi słowami odwracam się od spadkobiercy wielkiego państwa i niezerwaną częścią zerwanej grobli zmierzam w kierunku bramy.

Egon Erwin Kisch

Mieczysław Bodalski

Współzawodnictwo pracy w rolnictwie *)

Ruch współzawodnictwa pracy w rolnictwie, tak jak ruch współzawodnictwa w przemyśle, nie jest tylko zwykłą sprawą zwiększenia wydajności pracy i uzyskania lepszych wyników w produkcji.

Jest to u nas ruch nowy, jak nowym jest ustrój demokracji ludowej, który budujemy.

Stawia on sobie za zadanie zmianę starych form gospodarowania, związanych z ustrojem kapitalistycznym.

Przeprowadzenie bowiem reformy rolnej i przejęcie na własność Państwa ciężkiego i średniego przemysłu pozwala chłopu nie tylko otrząsnąć się z konserwatyzmu i odrętwienia, ale jako współgospodarzowi dziś kraju pozwala na stworzenie nowych warunków pracy, jakich nie dawał i nie mógł dać ustrój kapitalistyczny.

Ze smutnych resztek ustroju kapitalistycznego pozostał jeszcze u nas na wsi wzór „dobrego gospodarza“ w postaci kapitalisty wiejskiego.

Ale dlatego zadaniem zapoczątkowanego współzawodnictwa w rolnictwie jest rozbudzenie fachowej ambicji mało-i średniorolnych chłopów, by zbiorowym wysiłkiem wypracować lepsze i bardziej doskonałe wzory gospodarowania, by w tej masowej akcji wyrastali nowi ludzie — nowy aktyw społeczny i fachowcy — nowi lepsi gospodarze.

Przyczyną rozwoju współzawodnictwa w rolnictwie jest przede wszystkim to, że mało i średniorolny chłop na wsi, że robotnik w majątku państwowym pracuje i rozwija produkcję nie dla obszarnika, a dla odbudowy Polski nie kapitalistycznej, a ludowej, oraz dla siebie i dla swojej rodziny. Chłop wie, że produkty jego pracy doprowadzi do robotnika w mieście w uczciwy sposób spółdzielczość, jak również, że spółdzielczość Samopomocy Chłopskiej bez pośrednictwa spekulantów i wyzyskiwaczy doprowadzi do chłopa nawozy sztuczne, maszyny rolnicze i inne potrzebne towary.

Ten ruch przynosi polepszenie sytuacji materialnej chłopów. Przez współzawodnictwo coraz bardziej zaciskają się więzy współpracy i współdziałania ze sobą mało- i średniorolnych chłopów na wsi.

Ruch współzawodnictwa w rolnictwie rozwijał się w walce z reakcją, w walce z szeptaną propagandą, która głosiła, że rzekomo współzawodnictwo zmierza do tego, by człowieka wyeksploatować, uczynić dodatkiem do maszyny.

Przykład współzawodnictwa w przemyśle, przykład Pstrowskiego, Bugdołów, Zielińskich i Krajewskich oraz całych setek innych bohaterów na froncie odbudowy kraju, to odpowiedź na pytanie, dlaczego wykonujemy plany produkcji przed terminem i co stanowi dźwignię dla podniesienia na wyższy poziom organizacji naszego przemysłu i rolnictwa i całej naszej gospodarki narodowej? Odpowiedzią jest to, że ludzie ci są wolni od konserwatyzmu i uprzedzeń niektórych inżynierów, techników i pracowników gospodarczych; ludzie ci idą naprzód, krusząc stare normy techniczne, udoskonalają produkcję, wnoszą szereg nowych pomysłów, ulepszeń i wynalazków, pchają naprzód inżynierów i wynalazców, budzą w nich inicjatywę i likwidują różnicę między pracą umysłową a fizyczną.

Mówiąc o współzawodnictwie w rolnictwie, które łamie stare normy wydajności z ha, które przez zastosowanie maszyn obniża koszty produkcji rolniczej, — należy chociaż krótko wspomnieć o teorii ekonomistów kapitalistycznych i zestawić ich teorię z naszymi osiągnięciami.

Żyjący w XIX wieku angielski profesor ekonomii politycznej Tomasz Malthus dowodził, że „bezrobocie i nędza powstają nie na skutek kapitalistycznego wyzysku, lecz na skutek tego, iż przyrost ludności wzrasta szybciej, niż środki utrzymania“ i stąd wniosek, że — „bogaci nie mogą dostarczyć biednym pracy i wyżywienia, a biedni nie mają prawa od nich tego żądać“.

Jeden ze współtwórców kapitalistycznego prawa zmniejszającej się wydajności gleby — tak pisze: „Skąpstwo przyrody, a nie niesprawiedliwość społeczna stanowią przyczynę cierpień, jakie naród przy przeludnieniu przeżywać musi“.

Z takiej teorii wypływa wniosek, że „jeżeli w społeczeństwie panuje głód i nędza, to nie jest temu winien kapitalista, lecz ziemia winna, bo wyżywić ludzi nie może“.

Jakże marną wydaje się dziś ta nauka, jeżeli ją zestawimy dla przykładu z rozwojem rolnictwa Związku Radzieckiego:

W Rosji carskiej do r. 1913 średni roczny udój nie przekraczał 800 kg mleka od jednej krowy, a w Związku Radzieckim w r. 1947 norma przeciętna wynosiła ok. 2.000 kg mleka od jednej krowy.

Zbiór buraka cukrowego wynosił w 1913 r. przeciętnie 168 q z ha, już w 1936 r. wynosił około 210 q z ha, a w 100 zbiorowych sekcjach rolnych otrzymano zbiór powyżej 500 q z ha.

W r. 1913 przeciętny zbiór zbóż ciężkich wynosił w Rosji 7,3 q z ha, a w r. 1940 przeciętna wydajność z ha wynosiła 12 q.

Około 80% światowej produkcji lnu koncentruje się w Związku Radzieckim. Do rewolucji rodzina chłopska zużywała na obróbkę jednego ha lnu 115 dni pracy, a w 1939 r. — 90 proc. kołchozów, uprawiających len, przy zastowaniu stacyj maszynowo - traktorowych, zużywało tylko 42 dniówek ludzkich na obróbkę jednego ha lnu.

A jak wyglądają praktycznie nasze osiągnięcia?

Dzięki współzawodnictwu chłopów województwa krakowskiego w r. 1948 14-krotnie przekroczono nakreślony plan bloków nasiennych; zamiast 300 ha objęto akcją bloków nasiennych 4.431 ha.

Chłopi województwa kieleckiego, zamiast 440 ha osiągnęli przeszło 2.000 ha.

Chłopi w województwie olsztyńskim zaplanowali zlikwidować w r. 1948 123.000 ha odłogów, a zlikwidowali, dzięki współzawodnictwu, 205.857 ha.

Województwo gdańskie planowało 20.000 ha, zlikwidowało 24.000 ha odłogów.

Wojew. szczecińskie zlikwidowało 237.000 ha odłogów, co stanowi 117% planu i wojew. rzeszowskie, planując 68.000 ha w r. 1948, już 30 czerwca r. b. zlikwidowało 70.019 ha odłogów.

Na 3.169 gromad administracyjnych w woj. kieleckim w 3.000 gromad zostały zorganizowane gromadzkie komisje współzawodnictwa pracy. Na 1.494 gromad w wojew. rzeszowskim zorganizowano 1.300 komisji współzawodnictwa; w wojew. krakowskim na 1.919 utworzono 1.376 komisji; w wojew. olsztyńskim na 1.638 gromad — 1.134 komisji; w woj. bydgoskim na 2.392 gromad — 2.078 komisji współzawodnictwa oraz 3.106 komisji współzawodnictwa na 4.533 gromad w wojew. poznańskim.

Dzięki współzawodnictwu i pomocy sąsiedzkiej została wiosną roku bieżącego zwiększona ilość siewu rzędowego.

Dzięki współzawodnictwu został wykonany plan kontraktowania roślin przemysłowych, a w niektórych wypadkach nawet przekroczony, jak na przykład — w wojew. bydgoskim, szczecińskim, wrocławskim.

Została zwiększona i przekroczona w stosunku do planu sieć ośrodków maszynowych: planowano 15.000 ośrodków maszynowych w 1948 r., a zorganizowano 1.578.

Została także zorganizowana większość zrzeszeń branżowych. Zadaniem i jednym z węzłowych tematów współzawodnictwa na rok 1949 musi być umasowienie zrzeszeń branżowych wśród mało i średniorolnych chłopów.

Wzmogła się także akcja dostaw mleka i jaj. W akcji tej przodują dotychczas województwa: krakowskie, rzeszowskie, kieleckie i łódzkie.

Na wyniki dotychczasowej akcji współzawodnictwa złożyły się z jednej strony pomoc i kontrola zarządów terenowych Z. S. Ch. i personelu fachowego, a z drugiej strony — współpraca w tej akcji z partiami politycznymi i organizacjami młodzieżowymi. Tam, gdzie były aktywne zarządy kół gromadzkich, gdzie był aktywny personel zarządów powiatowych i gminnych i gdzie były zorganizowane komisje współzawodnictwa, które uświadamiały na zebraniach ogół rolników o akcji współzawodnictwa — tam wyniki bezwzględnie były lepsze.

Dziś jeszcze ruch współzawodnictwa w rolnictwie nie objął wszystkich gmin i gromad, jeszcze w wielu wypadkach nie był zorganizowany właściwie, jeszcze sprawozdawczość, dzielenie się metodami i doświadczeniami między zespołami nie zawsze miało miejsce. Ale niewątpliwie w 1949 roku wyciągniemy z tegorocznych doświadczeń wszystkie wnioski, by ruch współzawodnictwa w rolnictwie umasowić, otoczyć kontrolą i opieką, by dzielić się w czasie trwania doświadczeniami i metodami, dzięki którym osiągnięto wysokie plony.

Bo zapoczątkowany ruch współzawodnictwa na wsi reprezentuje **przyszłość naszego rolnictwa**, zawiera w sobie ziarno przyszłego **kulturalno-technicznego rozwoju wsi** i otwiera przed nami drogę, na której można osiągnąć najwyższe wskaźniki wydajności plonów i poprawić byt materialny niezamożnych chłopów.

*) Fragment przemówienia Sekretarza Generalnego Z. S. Chł., wygłoszonego na plenum Zarządu Głównego Z. S. Chł.

Józef Mozga

Rymowany alarm w sprawie Godzianowa

Okazuje się jednak, że nasz strzał artykułem „Przedsiębiorcy — działacze wsi“ (drukowanym w 42 nr tyg. „Wieś“) w Godzianów był więcej niż trafny. Od momentu, kiedy został przeczytany przez pierwszego Godzianowiaka rozpoczął się ferment. Widać wyraźny niepokój, sprzeczki, hałaśliwe kłótnie, złorzeczenia i obelżywe wykrzykniki.

W pierwszej chwili nie wiadomo kto wśród godzianowiaków wróg, a kto obcy, kto chce dobrze, kto źle. Ludzie się wzajem oglądają i oceniają jakby się pierwszy raz widzieli. Niby w żartach oceniają, kto jest „przedsiębiorcą“, kto „dorożkarzem“ (średniak jadący na własnym wózku bez konieczności korzystania z pomocy i usług innych) i wreszcie, kto jest dziadem. Dziadem oczywiście nikt by nie chciał być i nie śmie spojrzeć otwarcie w najbliższą swoją przyszłość i przyszłość swoich dzieci. Wstydzi się być dziadem jakby na to najzupełniej zasłużył, jakby to była jego wina.

Taki choćby Meszka Witek z „górki“, Waluś Kowara, Franek Kowara, Bolek Meszka czy wielu innych, czyż nie są gospodarzami? No, oczywiście są. Więcej przecież mają niż ja. Mogą „śmiało“ stawać o lepsze z Rybusem czy Sołtyszewskim. Ktoś by mógł powiedzieć, że Rybusy i Sołtyszewscy też nie są winni, że takie mają „urodzenie“.

— A całkowitej równości „nigdy“ nie było i nie będzie. Nauki takiej nasłuchaliśmy się bardzo wiele. O władzy pochodzącej od Boga, o wyższym i niższym stanie, o ludziach z krwią błękitną i zwyczajną — zwierzęcą itp. Są to stare piosenki, na które się już mało ludzi daje obecnie nabierać.

Bitwa się rozpoczęła. Nie wiadomo może jeszcze o co, ale — jest. Może na razie ukryta — niezbyt widoczna, ale już stłumić się nie da. Dotąd, panowie przedsiębiorcy, trwało wasze rządcostwo i w głowach wam się nie mogło pomieścić, by ktoś śmiał się temu przeciwstawić — oderwać, zaprotestować.

Na głos taki wystarczyło milczenie lub ironiczny uśmiech. Byliście pewni, że nikt takiego puszczyka nie ośmieli się poprzeć. Zawsze panowała na zebraniach „zgoda“ i „jedność“. Ponura to jedność.

Ukrywaliście przed wszystkimi to, że tej jedności nie ma i być nie może, bo nie ma równości. Wiedzieliście z góry, że Meszki, Kowary, Maraty nigdy Wam nie dorównają. Twierdziliście, że każdy, kto pracuje i „stara“ się, to może się mieć tak dobrze jak wy. Okłamywaliście wszystkich i samych siebie. Przypisywaliście wszystką biedę niedbalstwu, lenistwu, warcholstwu itp. Nie potrafiliście znaleźć przez dziesiątki lat nikogo spośród dwustu gospodarstw w Godzianowie, kto byłby godny was zastąpić. Nie było nikogo, bo nikt nie chciał (?). Wolał, według was, pić bimber i warcholić. Jeżeli ktoś próbował coś robić, a nie godził się z wami „pasować“, to z góry został skazany. Nie pozwoliliście mu nawet rozwinąć skrzydeł. Nie potrzebuję chyba przypominać wam ostatnich szacherek personalnych w Spółdzielni Samopomocy Chłopskiej.

Artykuł nasz spowodował ferment i ataki — zmobilizował was do walki.

Bije w niego „Nauczycielka“ („Wieś“ nr. 46) mająca o mnie „dużo“ wiadomości i zręcznie wplata między problemy — strzały natury osobistej. (zapewniam, że bardzo niecelne), bije Rybus Wacław z Bochenia (podobno młody chłopak), („Wieś“ nr 47) po raz drugi „poprawia“ „Nauczycielka“ („Wieś“ nr 49). W Godzianowie, Zapadach, Lipcach, Woli-Drzewieckiej, Głuchowie, Bocheniu i w szeregu innych wsiach całej Polski „szumi“. Chłopi patrzą po sobie, szukają sprzymierzeńców, rozpoznają swoich faktycznych wrogów.

Dziady i „dorożkarze“ poczynają podnosić rogi. Ale dotychczasowi „rządcy“ nie rezygnują, bo z takich pozycji łatwo się nie schodzi. Taka przegrana, to nie jest wieczorowa przegrana w „oczko“. Tu już się bracie nie odegrasz. Dlatego też „przedsiębiorcy“ bronią się przemyślnie. Sięgają do arsenału starych, wypróbowanych form walki.

Przyjrzyjmy się jednej z nich. Od niedawna kursuje po Godzianowie w iluś tam egzemplarzach wiersz-list, wydrukowany w całości w dzisiejszym n-rze „Wsi“ (patrz str. 4) poświęcony mojej skromnej osobie. Wielki to dla mnie zaszczyt, że jestem przedmiotem zainteresowań pewnej grupy godzianowskich gospodarzy. Bardzo się cieszę, że stawiają mnie nie po swojej stronie. Na to zgoda. A że nie liczyli mnie nigdy za sprzymierzeńca, świadczy o tym najwyraźniej ten właśnie wierszowany anonim.

Jestem z tymi „lichszymi“ — „najgłupsi najleniwsi, nieroby, bimbrarze“, — jak nazwała ich w poprzednim n-rze „Wsi“ p. „Nauczycielka“ — ze „ślamowcami“.

Nie trzeba chyba tego specjalnie wyłuszczać. A dlaczego z nimi? No, bo do nich mnie zawsze zaliczali i wcale się tego nie wstydzę. Właśnie do tych najgorszych „nierobów“. Nie byłem i nie chciałem być nigdy pupilkiem „działaczy“ i dlatego tak ich to irytowało.

Autor owego wiersza-listu nie ma odwagi podpisać się pod nim. Podpisuje symbolicznie — „Stanowice“. — Nazwijmy go więc dla ułatwienia pan S. Szanowny pan obywatel S. zdaje sobie na pewno sprawę, że ja wiem kto to takie piękne wiersze płodzi. Wiedzą i domyślają się Godzianowiacy i godzianowscy parafianie. Wiedzieć będą również wszyscy ci, którzy ten „utwór“ przeczytają, gdyż powie im o tym treść w nim zawarta.

— Jest to na pewno jeden z obozu „przedsiębiorców“ — powiedzą. I nie będą się mylić.

Bijąc w częstochowskie dzwony na alarm (bo aż z Jasnej Góry nadany został na poczcie ten list) przemawia w imieniu wszystkich („poszczególnych, zrzeszonych i owakich“), choć wątpię, czy ma do tego od wszystkich upoważnienie. Nie chce się wierzyć, by dał mu na to zezwolenie np. Kowara Stefan, który wrył się swoją chatką w gliniastą górkę przycmentarną i drażni tym prawego posiadacza gruntu, czy też Kazik Zbudniewek, który przyżenił się na pięciomorgowe „gospodarstwo“ (przypadające na pięciu dorosłych szwagrów) i goni teraz światem, żeby zarobić na chleb.

Domniemany autor konkretyzuje w pewnym miejscu wyraźnie swój obóz. Powiada bowiem — „Niech sądu nie dają sztubaki-nędzarze!“ Po tej wypowiedzi nie trudno się domyśleć skąd pada strzał.

Wiadomo kogo boli akcja sztubaków, którzy w niełatwych warunkach ukończywszy

szkołę średnią nie chcą zerwać ze swym środowiskiem.

Godzianowski poeta nie chce się na to zgodzić, na sądy takich „zwyrodnialców", którzy kalają uwite przez przedsiębiorców kułacko-kapitalistyczne gniazdo. Tym bardziej nie wolno dopuścić sądu nędzarzy. Boć jakiż to wtedy będzie porządek? Kto pójdzie na służbę i na „wyrobek", gdy ci wszyscy zechcą rządzić w Godzianowie (Boże, Boże!). Zburzy się cały porządek, a może nawet świat się zawali. Dlatego też nie wolno dopuścić, by sądy dawali „sztubaki, nędzarze":

Popatrzmy na wiersz i spróbujmy wyłowić co boli szanownego pana S.:

1. że „syn wsi" uczył się i basta,

2. że on i jego żona skończyli uniwersytet ludowy w Gaci,

3. że w przedwojennym kole Wici pomstował na pańszczyznę, szlachtę i księży z całą prawicą,

4. że po okupacji ukończył szkołę „splunął w starą klikę, kopnął endeka i „serce nowoczesne przybrał ludowe",

5. że płodzi o rywalach artykuły,

6. że stosunki w Godzianowie w sześcioletnim planie chce przynajmniej „przewietrzyć",

7. że wsiowe gniazdo w niesprawiedliwy sposób rozstawia w kąty.

Panie przeciwniku! Ja się od tych zarzutów nie uchylam. Ja nawet dziękuję Panu za ich sformułowanie, które jest uznaniem dla mojej skromnej pracy w Godzianowie.

Dajmy zresztą temu spokój, bo przecież nie o mnie tu chodzi. Ja — pan dobrze to wie — nie jestem sam. Nas jest gromada, która ciągle wzrasta. Dzieje się to w całej Polsce. Dzięki temu — rozumie pan Obywatelu S. — ośmieliłem się ja i niejeden już parobek (zawodowe pańskie popychadło) i bezrobotny i kilkumorgowiec i dziesiąty i setny uderzyć w stary porządek i podważyć wasze „prawa " kierowania wsią. Boli pana jakiś tam nędzarz wydziedziczony z ziemi, który nie poszedł do miasta szukać chleba, tylko pozostał tu w Godzianowie i referując „osławioną pańszczyznę" i wyzysk podgryzał korzenie pańskiej słodkiej egzystencji, że cały szereg innych nędzarzy śmie uczyć się i wypowiadać sądy o starym porządku na wsi?

Zapewne i to pana boli, że ściągnęli do Godzianowa szkołę średnią, z której może korzystać coraz większa gromada im podobnych. Pani „Nauczycielka" jakoś nie spostrzegła tego „szczegółu" w Godzianowie, który [illegible] był bynajmniej [illegible] „przedsiębiorców", a który tak [illegible]

[illegible] zmian na wsi. Nie [illegible] Godzianowie, Zapadach, Lipcach, Woli, gospodarstwa się rozpadają, dzielą, biednieją, że stworzyła się przez to perspektywa coraz większej nędzy, która — ale pan tego nie chce dojrzeć — nie ominęłaby kiedyś i pana dzieci. Pan to traktuje tylko dniem dzisiejszym. Im więcej nędzy tym tańszy służący. Byle dłużej spokojnie żyć. To jest wasza postawa, postawa wszystkich „przedsiębiorców wsi".

Boli pana fakt, że gospodarskie Koło Młodz. Wiejsk. w czasie „rewolucji młodzieżowej" (1928 r.) przeszło do Wici. Boli pana fakt, że ten spokojny klub elity chłopskiej, w którym pan i panu podobni tak miło i beztrosko spędzaliście czas, zarażony został duchem „komunizmu" i stał się źródłem wywrotowych nastrojów. I to tuż pod samym kościołem... Pan oczywiście chciał w kole widzieć salonik towarzyski i dlatego nic pana nie obchodził fakt rządzenia dziedziców w kółkach rolniczych, w różnych centralach spółdzielczych, dziedziców, którzy razem z pomniejszymi członkami różnych kółek i zarządów w Godzianowie, Bocheniach itp. składali całą polską wieś w hołdzie ustrojowi kapitalistycznemu.

Panu te dawne i obecne „awantury" nie podobają się. Pan chciałby zapewne wmówić wszystkim, by każdego ranka i wieczora wymawiali jak modlitwę, za którymś z bohaterów Wyspiańskiego: „Niech na całym świecie wojna, byle polska wieś spokojna"... Nie, panowie przegrani! My na wsi kończymy rewolucję, zmieniamy tradycyjne, krzywdzące nas porządki. My swoją działalnością nie przypominamy ptaka, jak to o nas w Godzianowie mówicie, który kala swe własne gniazdo. My, rozumie pan, to gniazdo czyścimy. I w akcji tej nie ustaniemy. Przepraszać nikogo nie myślimy, a że panom ten „wiaterek nie służy do twarzy", to tym gorzej dla panów.

Bronicie się panowie przed klęską. Sposobów chwytacie się i będziecie się jeszcze chwytali różnych. Jesteśmy na to przygotowani. Między innymi spotykamy i tę metodę — metodę poddania jednostki pod pręgierz parafialno-familijnej opinii. Przyznać trzeba, że to nienajgorsza metoda. Miała ona niesłychaną siłę w tradycyjnym, dawnym życiu wiejskim, ale posiada ją jeszcze i dziś, szczególnie wśród osób waszego typu. Nowe siły — śtamowcy — rozumiejąc swoją nową rolę w nowej wsi nowego ustroju, nie przyjmą, zdaje się, oskarżenia według waszych życzeń. I dlatego panie obywatelu S. tym razem chyba się pan zawiedzie. Chciał pan za jednym rymowanym zamachem zdmuchnąć całe nowe pokolenie, ale ma pan na to bezwzględnie za słaby „chuch".

Józef Mozga

Jan Jelonek

„DZIAŁACZEM TRZEBA SIĘ URODZIĆ"

W 47 numerze tyg. „Wieś" zaobserwowałem niezmiernie ciekawą dyskusję w artykule pt. „Młody działacz" oraz w wyjaśnieniu redakcyjnym.

Otóż mnie się wydaje, że działacz społeczny na wsi nie uzyskuje swojej pozycji na zasadzie specjalnego wykształcenia czy delegowania przez społeczność, po



śród której zamieszkuje i działa. Działacz **już takim się rodzi** i ma to nieszczęście, że z chwilą nadarzającej się okazji — wypływa na swojej pracy. Nie każdy z wypływających działaczy znajduje swoją drogę i swój cel. Niejeden błądzi przez dłuższy okres czasu i szamoce się z wielu przeciwnościami, jakie mu się w życiu nadarzają.

W okresie przedwojennym, kiedy **nie było dość zaznaczonych różnic politycznych**, gdyśmy dopiero **jakgdyby dojrzewali po stuletniej niewoli politycznej, brakło** niejednemu działaczowi jasnego poglądu na rzeczywistość. Niemniej pragnął się on wyżyć w swojej pracy i szukał różnych możliwości. Przykładem dość szczęśliwego rozwiązania są właśnie przedwojenne Liskowy i im podobne.

Jeśli społeczność rolnicza **dopiero od 80 lat** wolna od jarzma pańszczyźnianego, wychowana w doktrynie osiągania czegoś wyższego na pańską miarę, — zdołała jednak w wielu wypadkach wygospodarować w dziedzinie pracy społecznej nowe osiągnięcia, to jest właśnie zasługą tych działaczy „kapitalistycznego uspołecznienia". Czyż można się dziwić tym społecznikom, że **w braku wyrobionego poglądu społecznego,** postawili oni w swej pracy raczej na formę kapitalistyczną, jeśli tylko w takiej formie jako uznanej **za wyższą,** zostali **wychowani?** Przecież, o ile można z dnia na dzień przetwarzać polityczne czy ekonomiczne oblicze kraju, o tyle nie można ad hoc przetworzyć zapatrywania narodu. Są ludzie dość giętkiego usposobienia, którzy potrafią pasować do każdej rzeczywistości, ale to **również nie jest ani ich zasługą, ani też ich wadą.** Jest to zwykła przywara przechodząca z pokolenia na pokolenie jeszcze jako pamiątka po pańszczyźnie.

Z drugiej strony, właśnie takie nie **podbite działaniem politycznym** robienie wsi uspołecznionych wpłynęło bardzo poważnie na ogólne podniesienie się kultury zarówno rolniczej jak i ogólnej, co nie jest sprawą do pogardzenia. I właśnie dopiero na tym podłożu mogła narastać jako forma doskonalsza — dojrzałość polityczna i typowanie się dzisiaj już ustalonego kręgosłupa politycznego naszego rolnika. Dzisiaj już każdy chłop doskonale zdaje sobie sprawę, że można się obejść bez dziedzicowskiego prowadzenia za rączkę w sprawach społecznych i politycznych. Że trzeba mocno ujmować w chłopskie, twarde garście sprawy wsi aby służyły dla ogólnego dobra a nie tylko jednostek.

W dalszym ciągu, uważam, że o ile autor artykułu, W. R. niepotrzebnie się uniósł w zakończeniu swojego artykułu, o tyle redakcja zbyt surowo sądzi działalność przedwojennych działaczy chłopskich, którzy nie mieli możności lub po prostu zabrakło im odwagi udrapowania się w bohaterską pozę męczenników idei ludowej. Nie każdy bohater był społecznikiem jak i nie każdy społecznik urodził się na męczennika. Obecnie z działaczami społecznymi życie robi to samo, co rolnik robi ze zbożem, które wymłócił na młocarni. Odsiewa go na różnych maszynach aby w rezultacie otrzymać czyste ziarno nadające się



do siewu. Ale to czyste zboże wyrosło wśród chwastów i bynajmniej nie **wiele mu one zaszkodziły, co najwyżej opóźniły jego rozwój.** Tak i my dzisiaj już nie potrzebujemy obawiać się działalności dawniejszych „kumaczy" i „pasowaczy", gdyż w bardzo rzadkich wypadkach zdołają się oni zadomowić w nowej strukturze organizacyjnej. Otrzymany przez nas spadek po ich działalności często może



niepraktyczny lub staromodny, ale niemniej posiadający pewną wartość, przyjąć musimy i przyjęliśmy dostosowując go do nowych potrzeb i nowych prądów.

Dzisiejszy Związek Samopomocy Chłopskiej to nie dawne Centralne Towarzystwo Rolnicze obszarniczo - reakcyjne, ani też nie Centralne Towarzystwo Organizacji i Kółek Rolniczych oparte na wielkoziemiaństwie i chłopach bogaczach. Toteż dzisiaj nie obawiamy się spaczenia myśli chłopskiej, posiadającej dostateczne oparcie polityczne i wyrobienie społeczne. Reforma rolna oddała wsi tysiące dawniejszych jej wrogów, sztucznie tworzonych przez dwór, zaś dzisiaj mocnych i wiernych sprzymierzeńców chłopskich. Ci dawniejsi parobcy a obecnie chłopi na swoich zagonach, nie dopuszczą aby we wsi odżyły dawniejsze zwyczaje kumoterstwa i śledzienictwa.

Toteż **bądźmy wyrozumiali na przedśmiertelne pienia zamierającej doktryny społeczno-kapitalistycznej z jej zawodowymi działaczami.** Niechaj, spełniwszy co potrafili i mogli, przyglądają się jak młodzi nowym zapałem ruszać będziemy z posad kulę ziemską. I mam wrażenie, że największym nieszczęściem dla nich będzie, że potrafimy się doskonale bez nich obchodzić.

Piotr Chmura

I JELONKÓW TRZEBA UCZYĆ

Wypowiedź Ob. Jelonka — stanowi nowy przykład rezonerstwa, nabytego w mętnej i szkodliwej szkole wychowania.

Według niego ludzie rodzą się o gotowym przeznaczeniu... do zawodów, pozycji i roli społecznej. 1) „Działacz już takim się rodzi", 2) „Są ludzie dość giętkiego usposobienia, którzy potrafią pasować do każdej rzeczywistości, ale to również nie jest ich ani zasługą ani też wadą".

Skąd u Jelonka takie założenia u podstaw wiedzy o życiu jednostkowym i społecznym ludzi? Wydaje się, że mamy tu do czynienia z pogłosem poglądów, na jakich rósł faszyzm i jakimi w części paraliżował gotowość do obrony zagrożonych klas i narodów. To w fazie imperialnego kapitalizmu, już u jej początków „uczeni" Gobineau i Chamberlein wysunęli pseudo-teorię zależności tzw. anropo-geograficznych. Pochodzenie rasowe, i położenie geograficzne w ich spekulacjach prowadziły do wniosku o zasadniczych różnicach w inteligencji i uzdolnieniach, dzielących od mienne rasy i podrasy (tzn. odmienne kolorem skóry i budową czaszki). Zaczęło się więc od legalizowania **militarystycznego imperializmu kolonialnego** a przedłużyło się w hitleryzmie (dziś w panamerykaniźmie) do legalizowania podbojów typu kolonialnego w granicach **samego świata białych** w kolebce tego świata — Europie.

Związek pomiędzy poglądami Jelonka a przypomnianymi tu spekulacjami żywego i dziś faszyzmu polega po 1) na **biologicznym** wyjaśnianiu w ogóle kultury, a w szczególności społecznych wartości i pozycji ludzi. Po 2) na takim wyjaśnianiu po ostatnich doświadczeniach hitleryzmu, a obecnie „ładu amerykańskiego", miażdżącego wolność narodów w Europie Zachodniej. Te doświadczenia wymagają — od młodych przede wszystkim— światopoglądu przeciwstawnego, świadomie oczyszczonego z zarazków, jakimi kapitalizm imperialny zatruwa klasy i narody eksploatowane.

Od tego się zaczyna: „działacz już takim się rodzi". W Ameryce rodzą się nimi kapitaliści. Do niedawna rodzili się i u nas. Do niedawna u nas miliony ludzi, rodząc się chłopami i robonikami, skazane były na wyzysk, nędzę i ciemnotę przez tamtych, urodzonych w Polsce i za granicami na ziemian, fabrykantów i bankierów.

Kim się urodziłeś tym bądź! Dobre sobie! Któż to mógł głosić? Komu to było potrzebne? Kiedy miliony (u nas) nie mogły skończyć nawet 7 oddziałów szkoły powszechnej, ergo (zatem) kiedy wracały w analfabetyzm i ciemnotę — to zdaniem ob. Jelonka nic nie powinno przeszkadzać, aby powiedzieć o tym końcowym wyniku: miliony rodzą się na ciemnych ludzi. Tępota umysłowa to cecha większości ludzi — panie tego — **naturalna!**

Ludzie pasują do każdej rzeczywistości, co nie jest ani ich zasługą ani wadą — **naturalna ludzka właściwość!?** Zatem morał: pasujcie! Pasowanie jest naturalne, poza dobrem i złem! Kto to mówi? USA mówi to Anglii, co się wykłada na: pasujcie do naszej dyktatury i pasujcie z kolonii waszych i dominiów. Pasuj Francjo do pax americana, tzn. pasuj z niezależności gospodarczej, z Zagłębia Ruhry, z zabezpieczenia od Niemców, które pax americana do wojny na ciebie przygotowuje.

Przecież myśli, wyrażające prawa szersze, ogólniejsze, Ob. Jelonek, mają i konsekwencje szersze. A Wy wygłaszacie „teoryjki", których konsekwencje społeczne dość wyraźnie chyba konkretyzują się na tle współczesnej polityki świata. Cóż to, i o barbarzyńskim najeździe na Europę Niemców hitlerowskich i o zwycięskim ich złamaniu przez Armię Czerwoną myśleliście tylko według Waszego oberka: wojna to wojna? Albo: ludzie rodzą się do wojny, to wojna przychodzi?

Jest u Was sporo i **sanacyjnego** rezonerstwa. Nie było — w/g Was — przed wojną „dość zaznaczonych różnic politycznych", bośmy „dopiero dojrzewali po stuletniej niewoli politycznej". To są duby smalone. Trzeba wziąć w garść książki a być również choćby na trzech wiecach politycznych, to się dowiecie, czy nie było dość zaznaczonych różnic politycznych, czy też był aż nadmiar różnic politycznych. Straszliwe głupstwo palnęliście wobec historii. Ale to jeszcze pół biedy. Cała bieda polega jednak na tym, że Wy macie już gotową „historiozofię" (pogląd na historię) z sanacyjnej wypożyczalni. I ona Was zatrzymuje przed potrzebą zbadania i poznania prawdy historycznej. Owszem, to służyło sanacji. Była niewola, a potem — państwo — wykładała sanacja. Co było w niewoli, to się nie liczy. Ruchy społ.-polityczne z tamtych czasów cóż znaczą bez praktyki własnego państwa? Od początku, do freblówki partie klas, zwących siebie „uciemiężonymi"! Kto robił „państwo" — ten mądry! Wiadomo — robiło je ziemiaństwo i burżuazja. I dlatego nauczały: dojrzewajcie po stuletniej niewoli, a my za was, no i przeciw wam to urzekające państwo... Tak uczono młodzież w szkołach, bo działaczy i członków partii tymi banialukami nabrać nie było tak łatwo! Jaki to belfer wbił Wam te zasady w głowę?

Dopiero od 80 lat „społeczność rolnicza" wolna jest od jarzma pańszczyźnianego. I dlatego w/g Was nie można dziwić się „brakowi wyrobienia poglądu społecznego", a nawet należy jako zasługę poczytać „kapitalistyczne uspołecznienie" działaczom, którzy je robili. Szkoda, żeście nie dodali trzeciego wniosku: rewolucję zrobiliśmy za wcześnie. Dopiero 80 lat od pańszczyzny. Wieś nie uspołeczniona. Kapitalizmu wyższego rzędu na wsi jeszcze za mało, gdzie nam do przedwojennej wsi czeskiej, duńskiej, szwajcarskiej. Poczekać na... **ewolucję.** Bo jeszcze i to niedomówione tkwi u Was założenie. 80 lat trwały na wsi kapitalistyczne stosunki, tzn. 80 lat trwał **dramat milionowych mas,** z pokolenia w pokolenie katastroficznie rosnący. Tego Wy nie widzicie i nie rozumiecie. Dlatego dla Was 80 lat to tak mało. Żyjecie **fikcją lat,** że mało lat mało zmienia, wiele lat dużo zmienia, fikcją, że czas mechanicznie zmienia, że mechanicznie prowadzi do postępu. Ot, wyznawca teorii ewolucji.

Dzielicie działaczy na bohaterów i nie bohaterów, na męczenników i nie na męczenników. Nie bohaterzy i nie męczennicy to w/g Was ci od „kapitalizmu uspołecznionego" — społecznicy nie polityczni. Znów bzdura. Już to przy okazji Godzianowa wyłożono szeroko we „Wsi", że owszem, byli polityczni, bo wszyscy ludzie i zawsze są polityczni. Zawsze bowiem działają w interesie jakiejś klasy i w każdym okresie historycznym określony konflikt klas rozkłada działania ludzi na rzecz jednej strony barykady przeciw drugiej stronie. Wasi społecznicy „nie podbici działaniem politycznym", podnosząc kulturę rolniczą i robiąc „Liskowy" rozwijali i pogłębiali stosunki kapitalistyczne na wsi, tzn. pogłębiali odsiew na kapitalistów wiejskich (liczebnie malejących) i na rosnące masy rozdrabniającego gospodarki i proletaryzowanego chłopstwa. A ten proces na wsi utrwalał kapitalistyczną **podstawę ustrojową** państwa i jego półkolonialną zależność od kapitału zagranicznego. Męczennikami oczywiście nie mogli być i nie byli, skoro to oni fabrykowali masy męczenników, z których wyrastali — przywódcy walki z ustrojem — bohaterzy. Teraz ich — powiadacie — odsiejemy otrzymując czyste ziarno. „Ale to czyste zboże wyrosło pośród chwastów i bynajmniej nie wiele mu one zaszkodziły, **co najwyżej opóźniły jego rozwój".**

Co najwyżej opóźniły! I to się nazywa: **nie wiele** — Sami nie wiecie, ile przez Was przemawia w kapitalizmie rozrosłego cynizmu, ile pogardy i lekceważenia dla drugiego człowieka, dla ludzi. Toż przecież już sto lat temu podniósł proletariat pierwszą w Europie rewolucję przeciw kapitalizmowi. I odtąd nie spoczął w walce o wielką ideę ludzkości: sprawiedliwość społeczną. Ale właśnie chwasty go dusiły, dusiły strajki i rewolucje (jak Komunę Paryską). I pętają dziś jeszcze. I dziś dlatego walczyć nadal musimy, odrzucając Waszą zachętę do spoczęcia na laurach rewolucyj. I wyrozumiali nie będziemy na „przedśmiertne pienia zamierającej doktryny społeczno-kapitalistycznej z jej zawodowymi działaczami". Bo to nie pienia a działalność, walka z tamtej strony, obrona przeszłego, odradzanie przeszłego.

Stefan Stodolny

BEZPARTYJNY ŚREDNIAK

I.

Jan Wantuła nie jest jedynym w Polsce chłopem — bibliofilem i pod niejedną chłopską strzechą znajdują się ciekawe księgozbiory, warte przejrzenia. Samo jednak przejrzenie katalogów nie wiele by powiedziało, więcej powie powiązanie dziejów księgozbioru z dziejami jego właściciela: co decydowało o doborze księgozbioru i o czym decydował księgozbiór? Był czas, że dziwy te i unikaty uczyliśmy się cenić i przeceniać, że każdy z nas, którzy mieniliśmy się być inteligencją wiejską, poszukiwał swego Wantuły tak długo, aż go znalazł. Miał swoich Jan Wiktor i pisywał o nich rzewnie, mieli społecznicy wszelkiego autoramentu, a że był czas, kiedy wypadło się i mnie w ich poczet zaliczać, więc i ja szukałem, aż znalazłem.

Nie byle kim był mój bibliofil... Jego dom okazały zapadł jakoby w pyszny sad, przed białymi okienkami przez całe lato coś zawsze kwitnie i wonieje, opodal brzęczą pszczoły... A „Wantuła", mój filozof, nikomu i w nic nie wierzący przymruża niebieskawe oczy rad zawsze ze siebie i z wszystkich, którzy wydają mu się być zdolnymi do zrozumienia jego pełnych ironii uwag o sobie i swojej wsi i o świecie całym... Nieraz bywało, przyjaciel mój, nie świętując w niedzielę kopie sobie w ogrodzie ku nabożnemu zgorszeniu niewiast, zdążających ku kościołowi. Innym razem siadał na ogrodowej ławeczce, ładnej i wycackanej jak wszystko koło jego domu, ażeby z tekstu niemieckiego odczytywać mi wyjaśnienia ewangelii „Die Erklärung des Ewangelium von Graf Lew Tołstoj". Długo wypytywałem go czy wierzy? Zbywał mnie zawsze jednakowo brzmiącym „A zaś bym tam nie wierzył"... Było to w czasach, kiedy trzeba było od starego przyjaciela pożyczać książki w czasie wakacyj czy ferii świątecznych. W czasie ostatnich moich gimnazjalnych wakacji (przed wojną) stosunek mego przyjaciela do mnie radykalnie się zmienił. Zastałem go w pasiece dziwacznie rozeźlonego; musiało tak być, bo tak jest zawsze, kiedy pilnie strzeżone pszczoły wyroją się i zbiegną w niewiadomym kierunku.

„Mówią, Stefanie—powitał mnie z miejsca dziwaczną uwagą — mówią, że jest anioł stróż. A bałże się roju przytrzymać, ażeby go pszczółki nie pożądliły". W tym to czasie pokazał mi najsekretniejszą część swego księgozbioru, której nigdy przedtem nie udało mi się u niego zobaczyć. To, co tam było, poznałem wcześniej: synowie wsi Ropczyc i Sędziszewa pokazywali mi już te rzeczy, ale u mojego przyjaciela nie spodziewałem się ich. Były tam: Renana: „Życie Jezusa". „Dzieje św. inkwizycji", „Worek Judaszów" Czesława Wrockiego, mnóstwo broszurek, „pisma pomniejsze" K. Marksa... Było także jeszcze wiele innych, ale przypominam sobie, że pisma i mowy J. Bojki były pięknie oprawne.

II.

Ow bibliofil, mój przyjaciel, syn „wyrobnika" i wiecznego najmity, a wnuk flisaka, sam stał się średniakiem, ale za młodu był murarzem i cieślą i od 15 roku życia chodził za zarobkiem wszędzie, gdzie go można było znaleźć. Stąd jego znajomość języka niemieckiego i rosyjskiego i stąd jego wiedza o świecie. Nie to jednak jest ważne: ważne jest, że był to znany na całą okolicę działacz ludowy, że miejscowe organizacje polityczne były po prostu z niego, nim żyły i prawie wszystko mu zawdzięczały. Radykalny był to społecznik, występował przeciw wszystkiemu, czego nienawidził, a nienawidził przede wszystkim uniżoności i służalstwa i tych, którzy je w jakikolwiek sposób przejawiali. Kiedy zdarzyło mu się pracować w charakterze cieśli przy budowie jakiejś hrabskiej stodoły znieważył go jaśnie dziedzic, za pośrednictwem swego administratora.

— Zapytać go ile on żąda za tę robotę? — dolatiały go przez niedomknięte drzwi słowa dziedzica.

— A ile on by dał? — zapytał nasz filozof tak głośno, że wystarczyło to za pożegnanie, od którego dumny dziedzic zatrząsł się ze złości. Działalność polityczna mego przyjaciela polegała przede wszystkim na zdolności argumentowania za koniecznością reform, szczególniej — reformy rolnej. Jemu wierzono i słuchano go na wiecach, poważano mądre zdanie i wymowę i interesowano się wszystkim o czym mówił... Jeżeli po dokonaniu reformy rolnej nie istniały u nas skrupuły co do jej sprawiedliwego i prawnego dokonania, to wiele a nawet bardzo wiele w tym jego zasługi. Ostatnie lata przed wojną przyniosły mu sporo niespodzianek natury, jak sam mówił, policyjnej, niespodzianek takich, jakie nie omijały żadnego czynniejszego w tym czasie ludowca.

III.

Późno, a nawet zbyt późno zacząłem te dociekania źródeł chłopskiego radykalizmu i znowu wracam do mego bibliofila i do jego sekretnej skrzynki z dziełami, na których widok strwożyłby się niejeden dzisiejszy działacz społeczny. Znam ich bowiem tak wielu i wiem, że ich radykalizm ma nieraz dość ciasne granice. Jakże nie patrzeć z zastrzeżeniem na tych wiejskich ludzi partii, którzy przynależność do niej wykorzystują dla wypłynięcia, wyróżnienia się, choćby to były kościelne tylko zaszczyty. Inny był radykalizm tych wychowanych na wolnomyślicielskiej prasie „filozofów", w rodzaju mojego bibliofila. Biorę do ręki owe książeczki, na których posiadaczy biły gromy z ambon i policji. Oto Renana: „Życie Jezusa". Chrystus wyjaśniony jako człowiek, a nie Bóg, według słynnych w okresie pozytywizmu tainowskich pytań: wpływ klimatu, momentu historycznego i środowiska. Oto „Worek Judaszów", bibuła zakazana z winietami karykaturalnych rysunków, przedstawiających w sposób odrażający kardynalskie kapelusze i żywym słowem rozwijających teorię Spinozy o istocie i powstaniu religii... A oto znowu wydawnictwo „Latarni", rzecz o militaryzmie z ponurą reprodukcją obrazu Wereszczagina „Apoteoza wojny"... W tekście druga reprodukcja: „Owoce wojny". Tak lat 40 kształtował swój światopogląd mój bibliofil i jego rówieśni przyjaciele, późniejsi zapaleni ludowcy, najczynniejsi działacze, ci którzy szli jakoś lewym ale drugim nurtem myśli ludowcowej. Lata przed pierwszą wojną światową, lata pauperyzowania się wsi galicyjskiej, wznowionej emigracji sezonowej, owe nagłe przebłyski uświadomienia klasowego wybiły decydujące piętno na umysłach tych, którzy od dołu kształtowali ludowców wsi. Mój bibliofil nie był jedynym wśród nich, a skoro się przerzuci pożółkłe kartki roczników w „Przyjacielu Ludu" znajdzie się wiele tych drobnych artykulików nieraz niezdarnych, objawiających jednak pewien stopień uświadomienia klasowego. Redakcja ówczesna może i stępiła ostrość tych głosów, ale to, co utrzymało się, jest nad wyraz wymowne. Wskazywało na samouckie, dzikie w dużym stopniu, ale bogate oczytanie.

IV.

Dlaczego stary mój przyjaciel — robotnik i nawpół proletariusz o światopoglądzie materialistycznym i ateista nie włączył się w rewolucyjny ruch robotniczy, dlaczego nie stanął pod czerwonymi sztandarami, chociaż miał do nich wiele sympatii i pełne zaufanie? Pytanie to powtórzyć należałoby wobec wielu ludowych działaczy; Dziś mi się wydaje, że decydował tu nieszczęśliwy a swoiście polski kompleks wieś — miasto...

Robotnik sezonowy, wychodźca ze wsi stanowił w latach bezrobocia, a tym samym największego natężenia ruchu rewolucyjnego zbyt poważną konkurencję, a przez to samo odgradzał się od środowiska robotniczego miejskiego... Ponadto nie trzeba dodawać, że zdrów fizycznie i na serio traktujący swój obowiązek pracy był zawsze doskonałym robotnikiem. Dzisiejsze hasła współzawodnictwa nie były mu obce już wtedy, kiedy nie można było uważać za dobre „nieszanowanie pracy", bo one właśnie stanowiły o jego wartości wobec przedsiębiorcy i to właśnie oddzielało go od jego miejskiego towarzysza i nie dopuszczało tam, dokąd ciągnęły go przekonania i sympatia... Na przeszkodzie stał kapitalistyczny nadmiar podaży rąk do pracy i wynikająca stąd konkurencja.

V.

Mój przyjaciel „średniak", nieco dziwak i bibliofil jest już starym człowiekiem i nie potrzebuje już, jak dawniej wychodzić wiosną ze wsi i wracać późno jesienią...

Nie potrzebuje także zapracowywać się na swojej gospodareczce, a sad, pszczoły i książki wypełniają mu czas. Znowu przychodzę do niego, ażeby wypełnić życzenie redakcji „Wsi", by dowiedzieć się czegoś o skutkach i wpływie marksistowskiej propagandy w przeszłości na dzisiejszość i przekonuję się, że nie poszły na marne wysiłki anonimowych nieraz autorów owych broszurek, roztrząsających kwestie takie jak: „czy dzisiaj nie ma pańszczyzny?" Mój stary przyjaciel przegląda jakiś dziennik i siadając na ogrodowej ławeczce mówi:

— Przechodziłem koło domu lekarza i widziałem: gromady ludzi, cały rząd furmanek od rana do wieczora. — Lekarz nie może dać sobie rady. I każdy mówi, że takie czasy, że ludzie tylko chorują.

A czy dawniej nie chorowali?—Stary wyciąga ku mnie szyję i przymruża oczy — A ilu to kisło dawniej w alkierzykach, to w sadku, jak ten Boryna z „Chłopów" i kto wtedy pomyślał o lekarzu?... I kto wtedy tak dbał u dzieci, jak dziś dbają? Dla kogo ważniejsza była szkoła od pasienia bydła?

To tylko część wywodów starego ludowca jego mocnej i niczym niezbitej aprobaty współczesności. Zachwala sobie nie tylko to z czym styka się codziennie ale i wiele rzeczy, o których wie z lektury niezbyt zresztą regularnej dzienników i czasopism. A dlaczego ten wielbiciel nowego ustroju nie znalazł się w szeregach przodującej partii?

Zdaje się, że na to trzeba odpowiedzieć jego słowami. „Co ja bym tam między nimi robił? Wójtem być nie zamierzam, od podatku wykręcić się nie chcę, syna od wojska nie reklamuję". Wylicza płynnnie wszystkie znane dziś na wsi nadużycia, których dopuścili się nierzadko działacze i urzędnicy, zastawiający się kartą partyjną. Objaśniam go, że kończą się te hece i że na tych, o których mówi już „pojechano". Patrzy z niedowierzaniem i kręci głową — to trzeba — mówi—wiele lat, wiele szkół, uniwersytetów, trzeba ludzi z głową a nie brzuchem. Mówię mu, że chciałbym widzieć jego w tych szeregach, że przez to prędzej by doszło do takiego stanu rzeczy jaki sobie wyobraża.

— A no zobaczymy — potrząsa głową i przymruża oczy mój wyznawca materializmu dziejowego, materializmu w duchu jeszcze pozytywistycznym i duchu jeszcze drugiej międzynarodówki, ten mój wielbiciel współczesności, bezpartyjny średniak.

VI.

Myślę, że na tym starym bibliofilu-działaczu zaciążyła jego lektura. Pisałem już: pozytywistyczna. Duch ewolucji, naturalnych, powolnych przejść. Duch postępu automatycznego ale i dlatego nie szybkiego.

Jan Aleksander Król

W atmosferze Kamieńska i Gorzkowic

Autor listu „Jak to jest z Kościołem?" („Wieś" Nr 48) okazał się niestety — „błaznem XX w." jak sam siebie mieni w nowym do mnie liście. Nie dlatego, że tak się nazwał, ale dlatego, że nowy jego list nie ma już nic wspólnego ani z pragnieniem informacyj ani z polemiką, w którejby szło o sensowne umocnienie własnego stanowiska i racjonalne kruszenie argumentów przeciwnika.

Nowy list pisał już niepohamowany niczym fanatyk, zapieniony niedouk i zaprzysięgły adherent plebanii. Tego rodzaju ujadających bredni nie mamy powodu drukować u nas. Niechże sobie je ów „nauczyciel z Kaliskiego" umieszcza w prasie obozu katolickiego, gdzie nawet tam zajmie najskrajniejsze skrzydło „Ciemnogrodu".

Wypadki w Kamieńsku i Gorzkowicach postawiły przed czytelnikami codziennej prasy galerię postaci, których intrygi potrafiły wywołać **średniowieczną psychozę tłumu.** Oskarżonych można podzielić na dwie grupy. Wychowujących i... wychowywanych. Nici całej sprawy zbiegają się u wychowawców. Dzieło wychowanków wyrosło z długiej, pośrednio do praktycznego działania sposobiącej szkoły. Nasz nauczyciel z Kaliskiego należy do tej grupy. Trudno mi o nim myśleć inaczej, jak nie o jeszcze jednym reżyserze ponurego teatru średniowiecza, do którego na serio wychowuje młodzież na prowincji.

Chciałbym tu zapytać odnośne instancje Ministerstwa Oświaty — jak to jest z programem pedagogiów, kształcących nauczycieli szkół podstawowych? Jak wygląda „historia wychowania", jak historia rozwoju szkolnictwa i historia nauczycielstwa? Przecież absolwent pedagogium musi chyba tyle wiedzieć, że podobnie w Polsce jak i w innych krajach Europy szkoła z kościelnej przekształciła się w świecką. Nauczyciel-ksiądz i jego pomocnicy bakałarz-kleryk i organista przekształcili się w nauczyciela świeckiego, całkowicie niepodległego w swoich funkcjach i organizacji szkolnictwa plebanii i kuriom biskupim. Tak biegła historia szkoły i nauczycielstwa. Biegła bowiem wzdłuż **rozwoju nauki**, która u schyłku średniowiecza przez stosy i więzienia musiała się emancypować spod ograniczającej wiedzę metafizyki **Kościoła.**

Po tym historycznym przełamaniu okowów magii i metafizyki: po odrzuconej alchemii i astrologii wykwitają triumfalnie nauki o astronomii, o fizyce, o chemii, przypinając skrzydła do ramion nowym siłom wytwórczym, nowej technice produkcji, nowej cywilizacji. Nowożytnego nauczyciela zrodził właśnie ów rozdział w praktyce społecznej nauki od religii. Jest on spadkobiercą nurtu emancypacji wiedzy świeckiej, spadkobiercą dlatego jej postępowej, odkrywczej tradycji. Wraz z jej narastaniem rósł jego autorytet, klasowo-społeczne znaczenie zawodu nauczycielskiego. Wszystkie natomiast siły przeżytków feudalizmu (dwór i plebania) obniżały i hamowały jego wpływy i użyteczność społeczną. Wszystkie siły rosnącego kapitalizmu czyniły to samo. Na placówce szkoły powszechnej na wsi czy w mieście broń oświaty zmuszony był kierować przeciw masom ludowym. Opium elementarnego oświecenia, dawkowane dla części tylko dzieci każdego pokolenia, w treści i zakresie służyło dostosowaniu przyszłych dorosłych chłopów i robotników do kapitalizmu, oddaniu ich na łup kapitalistycznego rynku towarowego i rynku najemnej pracy. Ta wiedza, wiedział o tym dobrze nauczyciel, nie uzbrajała jeszcze przeciw kapitalizmowi, nie uczyła krytycznie poznać go i ocenić. A dla milionów była ona pierwszą i ostatnią szkołą. Wyższe szkoły były dla tych, którzy potem mieli panować nad milionami tych po elementarnej szkółce, którzy to niedooświecenie mas użyć mogli przeciw nim dla cynicznego, bo aż legalnego wyzysku.

W historii nauczycielstwa zawarte są dzieje walk. I dla każdego nauczyciela drogą i własną może być tylko jedna tradycja — postępu. Tradycja walki z ograniczeniami średniowiecza i kapitalizmu, z ich kurczeniem zakresu wiedzy, z nasycaniem jej irracjonalizmem, z apologią wyzysku i nierówności społecznej.

Pięćdziesiąt lat temu stoczył J. Bojko w sejmie galicyjskim wielką batalię z posłem również ludowym, Kramarczykiem, tubą ziemiańsko-klerykalnej polityki.

Kramarczyk żądał 1) zmniejszenia ilości lat nauki nauczyciela, obniżenia jej poziomu, 2) rekrutacji kandydatów z organistów, kościelnych i ministrantów, 3) **związania seminariów z klasztorami.** One miały być dyrekcjami i kuratoriami dla nauczycieli i szkół wiejskich. A zaczęło się od zachwytu Witkiewicza dla kultury ludowej górali. Od poezji tatrzańskiej, od malarstwa, biorącego za temat sielskie krajobrazy, od etnograficznych badań i towarzystw, od propagandy publicystycznej obozu Narodowej Demokracji, która piórami Wasilewskiego, Popławskiego, Pawlikowskiego i wielu innych wszystko, co było rezerwatem, tragiczną pozostałością z pańszczyzny i średniowiecza w warstwie chłopskiej, chciała zachować dla panowania i rozwoju zrosłych z sobą: burżuazji i ziemiaństwa.

Tak to została politycznie i praktycznie wykorzystana pełna nieraz szczerego entuzjazmu ludomania artystów i pisarzy. Z powrotem do średniowiecza! Z powrotem nauczycielu w sukienkę bakałarza-kleryka, organisty i ministranta!

Bojko (sam nauczyciel ludowy), wystąpił na sejmie z ostrą odprawą. Była ona wstępem do „Dwu dusz". „Chłopa — mówił — użyto do postawienia wniosku, którego urzeczywistnienie **cofnęłoby nas o sto lat...** Lud polski takich szkół i nauczycieli nie chce. Lud polski chce mieć nauczycieli **światłych!...** Będziemy obchodzić 50 rocznicę śmierci Słowackiego, który wyrzekł wiekopomną odezwę do narodu. „Lecz zaklinam, niech żywi nie tracą nadziei i przed narodem niosą oświaty kaganiec". Bojko nie mówił we własnym tylko imieniu i nie tylko w imieniu nauczycieli. Odwoływał się do szerokiej a zorganizowanej bazy społecznej, do ruchu ludowego, w którym wówczas świeciły takie nazwiska, jak Wysłoucha, Stapińskiego i Witosa (r. 1899). Ten ruch bił się wówczas o prawa gospodarcze, społeczne i polityczne dla wsi przeciw dworowi i przeciw plebanii. Dlatego w pięć lat potem ogłasza Bojko „Dwie dusze". Ostrzeżenie dla kleru i wezwanie mas chłopskich do zrzucenia pańszczyźnianej, średniowiecznej uniżoności, skoro obowiązują już prawa ustroju liberalnego, jakie i chłopom również przysługują.

A czy wiecie, co pisze mi nieprzytomny fanatyk, „nauczyciel z Kaliskiego"?

„Bojko źle kombinował **„Dwie dusze"** i marnym był katolikiem, zwyrodniałym karłem, renegatem, jak i Jehowcy, badacze, krętacze i naczelny ich „reformator" Luterek, z którego to skostniałego ducha w prostej linii wyślizgnął się, czy też wyłonił „Krzyżownik Hitlerek", ci wszyscy, co też jak on uznają 2 dusze... na pamięć uczę się i dzieci również w szkole uczę o prawdzie wielkich duchów, o ich bohaterskich dziełach i wyczynach a nie jadem cuchnące cytaty Bojki, które nadają się obłąkańcom do Kulperkówka lub Tworek!" W tym stylu utrzymany jest cały, chaotyczny list.

Jedno jest pewne. Ten nauczyciel nie zna historii ruchu ludowego, nie zna tragicznych dziejów wsi polskiej po pańszczyźnie, nie zna historii rozwoju kapitalizmu w Europie, u nas i na świecie. Nie zna albo nie rozumie i nie chce zrozumieć. Albo jeszcze gorzej, nawet zna i rozumie ale jest wrogiem wsi, wrogiem jej bohaterskiej przeszłości, wrogiem jej walk o sprawiedliwość społeczną, wrogiem jej etapowych zwycięstw, które stwarzały historyczne wiekopomne dzieła. A do takich należy ten stan świadomości społecznej, osiągnięty przez wieś, jaki zarejestrował Bojko w „Dwóch duszach".

„Nauczyciel z Kaliskiego" wyprowadza „Hitlerka" od Lutra, byle go nie wyprowadzać z kapitalizmu imperialnego. Chwali się, że uczy dzieci w szkole o wielkich duchach. Miałby to być i Kościuszko, Mickiewicz, Słowacki, Szopen (?) To jest czysta gra słów. To jest przykład, jak nazwiska rzeczywiście wielkich, rewolucyjnych duchów mogą stać się w ręku zacofańca parawanem dla wychowania uwsteczniającego o... sto pięćdziesiąt lat. Łaskę robi Kościuszką, że niby cieszcie się chłopi i **na dziś** Manifestem Połanieckim. A Bojko, który chłopom w sto lat później pomaga zrzucić wreszcie i — dopiero — resztę pańszczyźnianych, średniowiecznych zależności społecznych, Bojko już jest „karłem zwyrodniałym", „renegatem", „jadem cuchnący"; **autorem** dla wariatów z Kulparkowa?

Zaiste, wstecznictwo „nauczyciela z Kaliskiego", jak każde zresztą wstecznictwo, graniczy z obłąkaniem, z błazeństwem pensjonariusza Tworek.

Zasmucający i niepokojący to okaz obrońcy Kościoła.

Patron duchowy nowych Gorzkowic i Kamieńska.

„Krótki kurs historii WKP(b)"

Ukazało się pierwsze polskie wydanie „Krótkiego kursu historii WKP(b)". Książka ta ujmuje dorobek myśli i czynu czołowej partii klasy robotniczej świata i przywódcy międzynarodowego proletariatu w walce przeciwko imperializmowi. Jest to książka - doświadczenie. Książka — pisana wysiłkiem i krwią mas pracujących Związku Radzieckiego. Ale „Krótki kurs historii WKP(b)" to nie tylko dokument historycznych i rewolucyjnych doświadczeń. To równocześnie wysoce pouczający i wychowujący podręcznik strategii i taktyki walki klasowej. Z niego masy pracujące i wyzyskiwane miast i wsi uczą się i poznają drogi swego wyzwolenia i metody walki o swą wolność społeczną. Dowiadują się, jakimi sposobami można i należy zwalczać wrogów klasowych bez względu na to, w jakich występują strojach — sutannach, togach, aureolach zapleśniałej tradycji, czy w prostych okryciach kułaków, spekulantów, różnych nierobów, leniuchów, darmozjadów.

Z „Krótkiego kursu" można poznać najbardziej ukryte i zawiłe przejawy walki klasowej. Można się zeń uczyć — i trzeba się uczyć.

Dobrze się stało, że właśnie teraz, w przeddzień Kongresu Zjednoczeniowego partii robotniczych i w okresie zaostrzającej się walki klasowej na wsi, „Krótki kurs" dostanie się do rąk szerokich rzesz robotniczych. Robotników, drobnych i średnich chłopów.

Czytelnikowi, który dostanie do rąk „Krótki kurs", trzeba jednak powiedzieć, że nie wystarczy go tylko czytać. „Krótki kurs" trzeba studiować — uważnie i skrupulatnie. Trzeba nad nim szeroko i poważnie dyskutować. Trzeba jego doświadczenia przenosić na własny teren życia i pracy, w specyficzne właściwości nowego okresu historycznego. Trzeba czerpać zeń praktyczne wnioski. Studia nad „Krótkim kursem" przyniosą wiele korzyści i podniosą znacznie świadomość klasową ubogich i średniorolnych chłopów. Wskażą im nowe, wyższe, doskonalsze metody zwalczania nieprzejednanych wrogów klasowych pracującej ludności wsi — bogaczy wiejskich, kułaków i spekulantów.

K. S.

Wiadmo, jak się pisze w „Tygodniku Powszechnym"

Tygodnik Powszechny zaczepił złośliwą notą mój artykuł we „Wsi" o impresjoniźmie.

1) P. „Kar" zarzuca mi, że wiadomości o impresjoniźmie usiłuję połączyć z tym co słyszałem o bazie ekonomiczno-społeczno-politycznej tamtych impresjonistycznych [illegible] uczciwie, [illegible] istnieją- [illegible] nawiąza- [illegible] ństwa. [illegible] sztukę [illegible] drugiej połowie XIX wieku. Dyskutując uczciwie, musiałby „Kar" napisać, że mogłem **słyszeć** tylko tanie określenie impresjonizmu, które ujmowało go, jako **jednolitą**, nierozdzielną całość: — tę całość wiązało z klasą mieszczańską.

Tymczasem ja pisałem o **dwóch** etapach impresjonizmu: a) o okresie jego powstawania, i wiązałem jego narodziny z dołowym, plebejuszowskim, pół-proletariackim nurtem lat 1840—70, ujmując go jako realizm widzenia materii historycznej swego okresu. b) o następnym etapie, gdy impresjonizm zostaje przechwycony przez wzbogacone mieszczaństwo i z narzędzia poznawczego, z realizmu, nastawionego na widzenie swej epoki — staje się „koloryzmem", środkiem zafałszowania rzeczywistości i zniekształcenia jej na beztroską sielankę mieszczaństwa, cieszącego się życiem i użyciem.

Otóż gdyby „Kar" dyskutował uczciwie nie mógłby on napisać, że o tej grze sił klasowych ja „słyszałem". Musiałby on wówczas napisać że w istniejącej literaturze on nie czytał (a więc ja nie mogłem „słyszeć") o klasowym uwarunkowaniu zmian, poprzez jakie przechodził impresjonizm.

2) „Kar" cytuje moje powiedzenie o obrazach rokokowych XVIII w., gdzie tło i część pejzażowa malowane są „lekką wielobarwną techniką niezależnych dotyków pendzla, a twarz głównej osoby — techniką zalizaną" i zapytuje mnie, czy ja rzeczywiście widziałem takie obrazy.

Czy „Kar" rzeczywiście jest takim ignorantem, jakiego udaje? Czy on nigdy nie oglądał (chociażby w reprodukcjach) obrazów XVIII w Laueraia, Bauchera, Fragonarda, rokokowców angielskich. U nas Norblina Wojnianowskiego? Jaki sens ma to pytanie?

3) Na wypadek, gdybym wybrnął z poprzedniego pytania, czeka na mnie nowa pułapka. „Kar" zapytuje czy nie wiem, że malowanie portretu w dwóch technikach jest metodą normalną, gdyż zwykle **zatrzymuje** się wzrok na twarzy modela. Nie, p. „Kar" — to nie jest metoda zwykła. Jest to jedna z metod — metoda historycznie (a więc i **klasowo**) uwarunkowana. Wiemy, że w malarstwie wcześniejszym i twarz i tło były malowane jednakowo wyraźną („zalizaną") techniką. Wiemy również, że portrety impresjonistyczne były **całe** (i tło i twarz) malowane techniką niezależnych dotyków pendzla. A więc tylko malarze rokokowi, i ci z późniejszych którzy jeszcze nie wyszli poza świadomość rokokową — malowali twarz jedną techniką, a tło drugą. Więc po co nazywać normą to, co jest związane z jednym z okresów historycznych? Po co uważać za stałe to, co jest historycznie przemijalnym?

4. „Kar" twierdzi, że zaczątków impresjonizmu należy szukać nie w wieku **XVIII**, bo „już Veronese i Velasquez i Holendrzy i mozaiki bizantyjskie". Nie analizując żadnych rzeczywistych składników ich malarstwa, twierdzi po prostu i gołosłownie (za paroma niemieckimi historykami sztuki), że Velasquez i Holendrzy, i Bizancjum... Gdzie Rzym, a gdzie Krym? A może jeszcze dalej? Może — Bizancjum, Indie, Sassanidzi, Aleksandria, Kreta, Altamira i — Adam, jako pierwszy człowiek. Jak rozmach, to rozmach! Nie kijem go, to pałką. Cóż łatwiejszego niż plątać aż do zupełnego zamętu w głowie czytelnika.

Pisałem o dwóch następujących po sobie pokoleniach impresjonistów i o odmiennej roli impresjonizmu, reprezentowanego przez te dwa pokolenia. Jedno działało w latach 1870, a największa intensywność drugiego przypada na drugą połowę lat 1880. Są to pokolenia nie tylko chronologicznie, lecz i artystycznie odrębne. Cóż z tego, że do jednego z nich należał Monet a do drugiego Renoir, tylko o rok młodszy od Moneta. Czy to nie możliwe? P. „Kar" być może młodszy jest ode mnie, ale przecież należymy do różnych obozów. I młodszy P. „Kar" broni pozycji starych konserwatywnych ideologii.

I jak tu dyskutować z tego rodzaju „krytyką", gdzie insynuuje mi się, że coś „słyszałem" (i widocznie nie zrozumiałem), powołuje się na kije i pałki (czy te, przedwojenne, korporanckie?) naszeptuje, że zamiast rzetelnego, samodzielnego myślenia poprzestaję na „wiadomo, jak należy pisać" — **i to** wszystko wzięte razem jest kulturą p. „Kar" i „Tygodnika Powszechnego"?

Z **tego** wszystkiego pozostaje jedno, czego panowie nie mogą strawić i co ich najwięcej boli — „widzenie unizone". Lecz cóż robić — epoka minęła, a wraz z nią przeminęło też bezpowrotnie i — „widzenie unizone".

I jeśli dla p. „Kar" — wiadomo jak należy pisać w „Tyg. Powsz." — jest to faktem również historycznie i klasowo uwarunkowanym.

Władysław Strzemiński

F A K T Y i Z D A N I A

I to ma być współzawodnictwo?

Szerokim echem odbiła się po kraju idea współzawodnictwa pracy. Szczególnie w bieżącym roku, na odcinku odbudowy kraju uwidocznił się jej wielki społeczny sens. Od miesiąca nie ma chyba dnia, abyśmy nie mogli przeczytać w prasie, że w coraz to innej gałęzi przemysłu, dzięki współzawodnictwu, podniosła się jakość i ilość wyprodukowanych dóbr.

Świat pracy chwycił w lot tę prawdę, że im szybciej, wydajniej i lepiej będzie pracował nasz przemysł tym prędzej odbudujemy kraj ze zniszczeń powojennych, tym prędzej podniesie się stopa życiowa narodu i wzrośnie dobrobyt. Klasa robotnicza, w której współzawodnictwo pracy jest najpowszechniejsze, już drugi rok z rzędu składa narodowi najpiękniejszy podarunek świąteczny — meldunki o przedterminowym wykonaniu planu.

Współzawodnictwo objęło również inne dziedziny życia społeczno-gospodarczego i kulturalnego kraju. W bieżącym roku wprowadzono je do miejskich szkół podstawowych — dawnych gimnazjów ogólnokształcących.

Jakże ono wygląda? W czym współzawodniczy młodzież — „przyszłość narodu"? Weźmy za przykład łódzką 11-letnią szkołę podstawową, która przed wojną uchodziła za wzorowe gimnazjum mieszczańskie.

Poszczególne klasy — jako całość — współzawodniczą między sobą w:

1) czystości. Chodzi o to, aby schludnie wyglądać, mieć czysty kołnierzyk, umyte ręce, uczesaną głowę i nie zaśmiecać klasy, ani przyległej do niej części korytarza.

2) Pilność. Tu znowu, idzie o to aby nie spóźniać się na lekcje nie „wagarować" i koniecznie przynosić usprawiedliwienia od rodziców (w specjalnym zeszyciku) w razie nieobecności.

3) Postawie godnej ucznia. W każdej szkole młodzież broi. Zdarza się wybicie szyby, pobicie kolegi, hałasy na lekcjach czy nieobecność w niedzielę na szkolnej mszy. Klasa, która ma mniej takich przewin na końcie — wygrywa.

To są zatwierdzone dotąd paragrafy współzawodnictwa. Nad resztą debatują klasowe samorządy. Wśród projektów należy podkreślić pomysł współzawodnictwa w grach sportowych — piłce nożnej, koszykówce, siatkówce i boksie.

Jakiż może być cel tak pojętego współzawodnictwa? Kto zna dobrze ideały wychowawcze międzywojennych i jeszcze wcześniejszych gimnazjów mieszczańskich, ten może przypuszczać, że chodzi tu o realizację takiego ideału a więc wyhodowanie młodego, eleganckiego, układnego gentelmana — sportowca.

Bo przecież nie chodzi tu o wyścig w dojrzewaniu do ustroju Ludowej Polski. Gdyby tak miało być, to przecież współzawodnictwo objęłoby przede wszystkim taką np. dziedzinę szkolnego życia jak organizowanie **kół naukowych.**

Czy nie lepiej byłoby na kółku polonistów wyjaśnić sobie społeczno-gospodarcze podłoże literatury pozytywistycznej, zaglądać do „Kuźnicy", „Odrodzenia", czy „Wsi" zamiast wykrawać w papierze wycinanki dla ozdobienia klasy.?

Nie lepiej i pożyteczniej zapoznać się bliżej z polskimi ruchami politycznymi, niż tracić czas na podglądanie spóźniających się do szkoły kolegów?

Powinien wygrywać nie ten, kto ma czysto pod ławką, chodzi nienagannie ubrany i kopie dobrze w piłkę, ale ten kto lepiej rozumie rzeczywistość społeczno-kulturalną Polski Ludowej. Bo tylko taki naprawdę będzie jej potrzebny.

Inaczej nasza młodzież z miejskich szkół będzie się mocno rumienić, jeżeli pomyśli serio o ciężkiej pracy i współzawodnictwie w klasie robotniczej.

pp.

Wszechnica Radiowa

Aktywiści wiejscy, kierownicy świetlic i nauczyciele pozyskują w tym roku nowego sprzymierzeńca i doradcę w swej pracy na wsi. Oto w dniu 18 października rozpoczęła swą działalność **Wszechnica Radiowa** powołana do życia przez Polskie Radio i Ministerstwo Oświaty. Na falach eteru dotrze nawet do najdalej położonych od ośrodków kulturalnych osad i wsi usystematyzowana wiedza o dalekim świecie i bliskiej Polsce, o najnowszych zdobyczach nauki, o wielkich przemianach społecznych i najważniejszych problemach naszego państwa.

Pierwszy rok wykładów Wszechnicy Radiowej będzie miał charakter kursu wstępnego i obejmie 5 cyklów wykładów:

Podstawowe zagadnienia Polski.

Nauka o świecie.

Rozwój społeczeństwa ludzkiego.

Ruchy społeczne ludzkości.

Podstawy naukowego poglądu na świat.

Wszystkie wykłady Wszechnicy Radiowej wygłaszane będą przez znawców poszczególnych zagadnień, a więc przez profesorów, socjologów, ekonomistów i biologów, przez działaczy politycznych i kulturalno-oświatowych. Każdy wykład będzie dwukrotnie nadany (rano o 9.30 i wieczorem o 19.40, a w niedziele o 11.00). Wszelkie pomoce naukowe jak wykresy, tablice, bibliografie itp. przynosić będą bieżące numery czasopisma „Radio i Świat". Do tegoż pisma będą dołączane specjalne miesięczne wkładki zawierające pełne teksty wszystkich wykładów z całego miesiąca. Każdy słuchacz ma prawo zwrócić się do Wszechnicy Radiowej z zapytaniem, jeśli tekst wykładu będzie budził jakiekolwiek wątpliwości czy potrzebę dodatkowych wyjaśnień.

W poczet słuchaczy Wszechnicy Radiowej może być zaliczony każdy kto zgłosi na kartce pocztowej do Polskiego Radia, Związku Nauczycielstwa Polskiego lub Komitetu Centralnego Związków Zawodowych swoje imię i nazwisko, adres, wiek, zawód i wykształcenie.

Zarejestrowani słuchacze po wysłuchaniu wszystkich wykładów będą mogli na zakończenie roku akademickiego, tzn. w czerwcu, przystąpić do egzaminu przed Komisją Egzaminacyjną powołaną przez Ministerstwo Oświaty. Pomyślny wynik z egzaminów potwierdzi zaświadczenie z ukończenia I roku Wszechnicy.

Korzyść z wykładów będzie znacznie większa, jeśli słuchanie będzie zespołowe i połączone z koleżeńską dyskusją, kierowaną przez aktywistów wiejskich i oświatowców. Zorganizowanie więc zespołu Wszechnicy Radiowej powinno stać się ambicją każdego działacza społecznego, kierownika świetlicy i nauczyciela.

T. M.
ZMP-owiec z terenu

Przed sądem ostatecznym

W „Słowie Powszechnym" z niedzieli 7 listopada nr. 305(582) przeczytałem bardzo interesującą „Rozmowę z niedowiarkiem" napisaną przez Pawła z Wolbromia. Otóż ten Paweł z Wolbromia (prawdopodobnie ksiądz) pisze tam między innymi:

„Było to po skończeniu okresu spowiedzi wielkanocnej. **Na mniejszych parafiach, zwłaszcza wiejskich, przeprowadza się jeszcze kontrolę odbywających spowiedź.** Dzieje się to przy pomocy kartek. Po zwróconej uwadze jednej z matek, że brak jest kartki ze spowiedzi jej syna (nawiasem mówiąc, **nauczyciela** szkoły powszechnej, przebywającego u matki na zdrowotnym rocznym urlopie), otrzymałem na trzeci dzień list takiej mniej więcej treści:

„Uprzejmie komunikuję księdzu, że ja swoją spowiedź przed Panem Wszechrzeczy już odbyłem. Do tego zaś niepotrzebne mi były żadne kartki, czy kratki, ani nawet ksiądz. Wypraszam sobie, by ksiądz w tej sprawie robił jakieś dochodzenia".

Po przeczytaniu schowałem list do biurka — ot tak, na pamiątkę, ewentualnie, jako dokument przekonań pewnych ludzi".

Praktyki proboszcza z Wolbromia skojarzyły mi się z praktykami prefekta z Opoczna. Oto tekst listu, jaki nadesłali uczniowie Państwowego Gimnazjum i Liceum im. Stefana Żeromskiego w Opocznie:

— „Ksiądz prefekt mimo, że zna powiedzenie, iż „przymusowy pacierz Panu Bogu niemiły", wcale się tym nie martwi i wydał orędzie o przymusowym uczęszczaniu na Mszę Świętą. W jego ustach zarządzenie to brzmi: „Ponieważ szkoła musi być solidarna, więc wyrazem tej solidarności będzie wspólne uczęszczanie na Mszę Świętą". Nie dowierzając jednak solidarności uczniów, wprowadził jeszcze listy obecności, a specjalni pupilkowie sprawdzają je i biedny delikwent długo się musi tłumaczyć z owej nieobecności. Ciekawy również jest fakt, że zbiórka do kościoła odbywa się na podwórku szkolnym, pod czujnym okiem księdza prefekta.

Znalazło się kilku śmiałków, którzy próbowali protestować przeciwko takiemu stanowi rzeczy — uznano ich za bezbożników i długo mówiło się o nich na ambonie jako o „tych, którzy zeszli z drogi prawdy".

Nie wszyscy jednak są tak odważni, jak ci koledzy, których wymieniliśmy. Wielu z nas, rad nie rad, musi się podporządkować, obawiając się długich i zawiłych tłumaczeń, posądzeń o bezbożnictwo, czy też sekciarstwo. Ksiądz prefekt ma zresztą jeszcze inną metodę, potrafi znaleźć drogę do naszych matek i, wyzyskując ich łatwowierność, odpowiednio do synków nastawiać. My jednak uważamy jedno: „kto jest w stu procentach katolikiem, to i tak do kościoła pójdzie, a ci, co chęci nie mają, to po co ich zmuszać?" Niechże więc skończą się — chodzenie parami do kościoła i sprawdzanie list".

Uczniowie.

„Ze zrozumiałych względów pod notatką się nie podpisujemy. Wiadomo, że na ucznia można zawsze „sposób" znaleźć.

Sam sposób podpisania się przez uczniów świadczy o terrorze, jaki uprawia ksiądz prefekt. Takich sposobów zmuszania do pełnienia praktyk religijnych nie można bowiem określić inaczej — jest na to tylko jedna nazwa — terror. Sporządzanie przez specjalnych agentów list obecności w kościele, kartek przy spowiedziach, donosy dewotek pieczołowicie zbierane — to przecież chyba nie gromadzenie materiałów na sąd ostateczny.

kjz

W OSTATNIM NUMERZE 49—50 (177—178) z dnia 5—12 grudnia 1948 r.

S. M. Michiejew — Manifest Komunistyczny i sprawa chłopska; Wiersze czeskie — **Iirzi Wolker** — Ballada o oczach palacza; **Karel Toman** — Przedmieścia; **Stanisław Kostka Neuman** — Dydaktyka; **Wiesław Jażdżyński** — Meldunki o produkcji; **Leonard Sobierajski** — I dalekie i bliskie; **Mieczysława Buczkówna** — Jasna Brama; **Seweryn Wysłouch** — Germanizacja przed hitleryzmem; **Stanisław Cieślak** — W kapitaliźmie nie ma planowej gospodarki; **B. Bierut, J. Cyrankiewicz, R. Zambrowski, J. Berman, H. Minc, A. Zawadzki** — Zjednoczona Partia Klasy Robotniczej; **Kazimierz Szymczak** — Pamiętnik robotnika z okresu okupacji; **Jakub Litwin** — O pamiętnikach robotników; **Maciej Czuła** — Robotnicy i chłopi; **Leon Pokora** — Jak rósł radykalizm społeczny na wsi lubelskiej; **Nauczycielka** — „Nie ustrój — człowiek wysokiego gatunku!"; **Dyzma Gałaj** — Orędowniczce krzywdzonych „przedsiębiorców"; **Kazimierz Jerzy Zaleyski** — Z wyborów samopomocowych; **Józef Pogan** — Rodowi działacze wsi; **Józef Pogan** — Douczony mętlik; Fakty i zdania; 18 ilustracji; 16 stron.

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KROL

Redaguje Komitet.

Adres Redakcji i Administracji: Łódź Piotrkowska 133, tel. 100-93

Wydawca: ZARZĄD GŁOWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ

REDAKCJA RĘKOPISOW NIE ZWRACA

Ceny ogłoszeń: 1/1 kolumna 60.000.— zł. 1/2 kolumny 30.000.— zł; 1/4 kolumny 15.000.— zł; 1/8 kolumny 8.000.— zł;

Ogłoszenia przyjmuje Administracja — Łódź ul. Piotrkowska 133. Telefon 100-95

Warunki prenumeraty: miesięcznie 60.— zł. kwartalnie 180.— zł. półrocznie 360.— zł. — Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO ŁÓDŹ VII—1080.

Drukarnia Nr. 4 Spółdz. Wydawniczo - Oświatowej „Czytelnik" — Łódź, Żwirki 2. D—019210